NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 617·50 Marek, Półrocznie 1235·— Mk. Rocznie 2470·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX.
[illegible] Wielkiego L. 95 (dom [illegible]).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

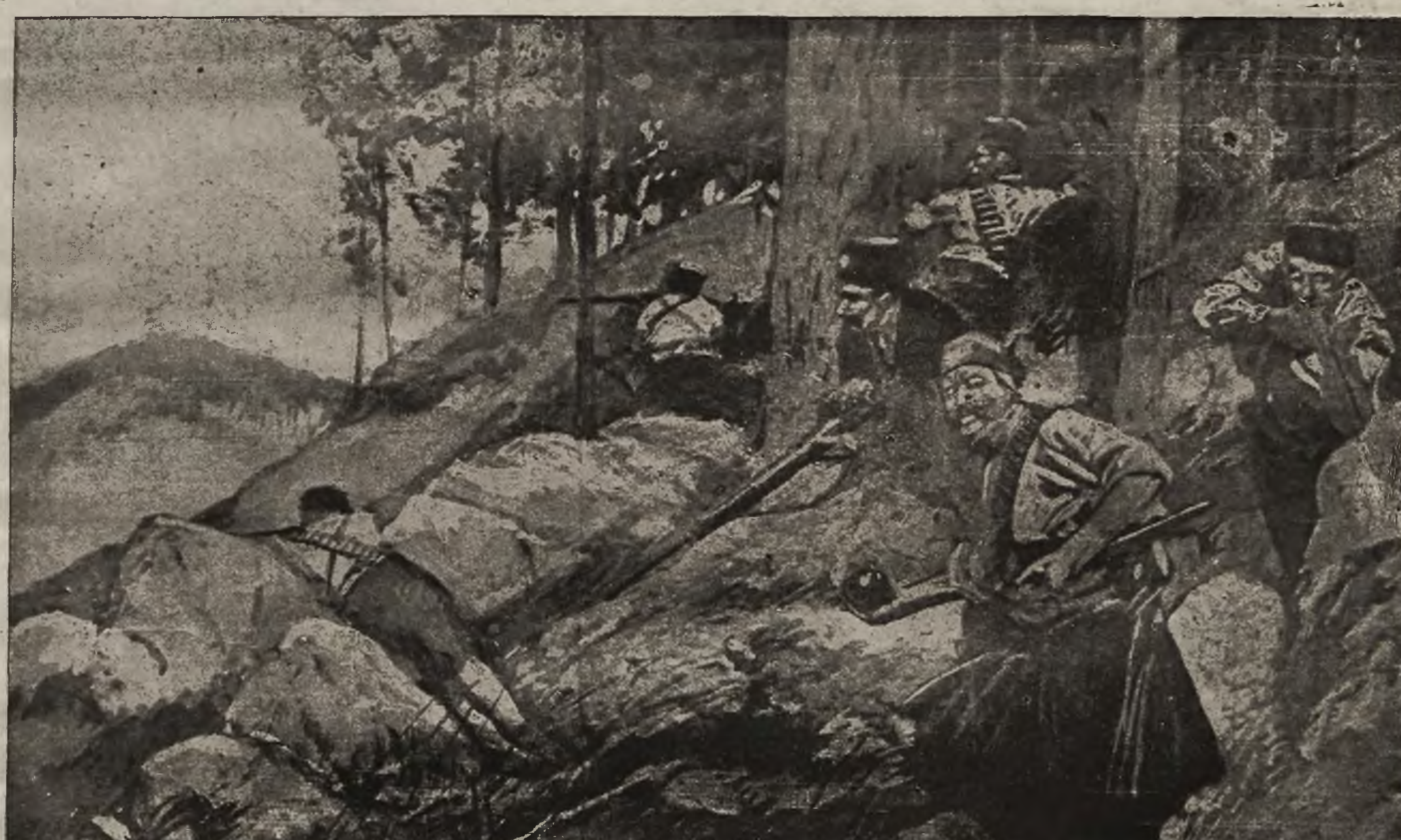
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 50 Marek.

Rok XVIII. **Kraków, 22 października 1921.** **Nr. 43.**

Zatarg Jugosławii z Albanią



Utarczki graniczne Albańczyków z wojskami serbskiemi.

Zatarg Jugosławii z Albanią.

(Do illustracyi tytułowej).

Półwysep bałkański to stanowczo najniespokojniejszy zakątek w całej Europie. Przed wybuchem wojny światowej spotykaliśmy się stale w naszych pismach ze wzmiankami o „wrzeniu w kotle bałkańskim“, obecnie nie jest bynajmniej lepiej. Spór grecko-turecki rozgrywa się wprawdzie przeważnie na terenie azyatyckim, na samym Bałkanie, głównem ogniskiem niepokojów jest natomiast w dalszym ciągu Serbia, która dziś urosła do rozmiarów dość wielkiego państwa i jako taka chciałaby sąsiadom narzucać swoją wolę i regulować sprawy polityczne po linii własnych interesów. Jeśli gdzie, to tu właśnie dałoby się zastosować zdanie, że imperyalizm może przynieść tylko szkodę, zwłaszcza temu, kto nie ma dość sił do przeprowadzenia swych zamiarów, o ile one nie są do tego oparte na prawach słuszności.

Nie bardzo też pomylił się, jak się zdaje, ks. Ludwik Windischgrätz, minister żywnościowy węgierski, i powiernik ex-cesarza Karola, dobry znawca stosunków politycznych, nie rokując dawnej Serbii, zmienionej dziś w Jugosławię, zbyt długiego istnienia. Wychodzi on z założenia, że państwo, w którem trzy miliony Serbów chcą rządzić dziesięciu milionami wrogo przeciw sobie usposobionych, choćby nawet pokrewnych narodowości, ostać się nie może, ponadto nie wytrzyma długo wysiłków finansowych, połączonych z ciągłem pogotowiem wojennem, wywołanem zbyt daleko posuniętemi imperyalistycznymi zamiarami.

Obecnie na porządku dziennym jest konflikt między Jugosławią a Albanią, z których pierwsza, nie zadowolona z granicy, wytyczonej przez mocarstwa, radaby byłaby „wyprostować ją według swych wymagań“, choćby nawet przy użyciu siły. W tym celu zgromadzono na pograniczu albańskiem znaczne siły wojskowe, dochodzące kilku dywizyi z odpowiednią ilością artyleryi, co spowodowało sfery rządowe włoskie, bezpośrednio w tym konflikcie zaangażowane i nie chcące dopuścić do zbytniego rozrostu Jugosławii, do wystąpienia w Belgradzie z ostrzeżeniem, iż Włochy, nie dopuszczą za żadną cenę do pokrzywdzenia Albanii, i że w obronie jej interesów wystąpią czynnie nie tylko one same, ale i cała Koalicya.

Granica między Albanią a Jugosławią stała się zatem widownią partyzanckich utarczek między grupami tamtejszych mieszkańców a patrolami wojska serbskiego. Górzysty i lesisty teren nadaje się do nich w zupełności, opór Albańczyków podsyca umiłowanie swych ojczystych gór i wolności, w obronie której przelewali krew całe wieki. Serbów nie kochają bynajmniej i nie życzą sobie dostać się pod ich panowanie, a poparcie włoskie, jakie czują poza sobą, dodaje im sił i zachęty do stanowczego oporu.

Łatwo zatem przyjść może do nowych poważnych zaburzeń na Bałkanie, Serbia bowiem, jak donosiły ostatnie telegramy, widocznie niezbyt wiele robi sobie z przestróg włoskich, gromadząc w dalszym ciągu wojska wzdłuż granicy i powołując pod broń kilka najmłodszych roczników. Jeśli ponadto sprawdziłyby się wieści, że król serbski, Aleksander, ma zamiar abdykować na rzecz swego starszego brata, znanego z awanturniczości księcia Jerzego, w niedługim czasie na Bałkanie może rozgorzeć nowa pożoga wojenna, której następstwa mogłyby być bardzo fatalne dla całości i istnienia obecnej Jugosławii.



Po decyzyi Ligi Narodów: Rynek w Katowicach.

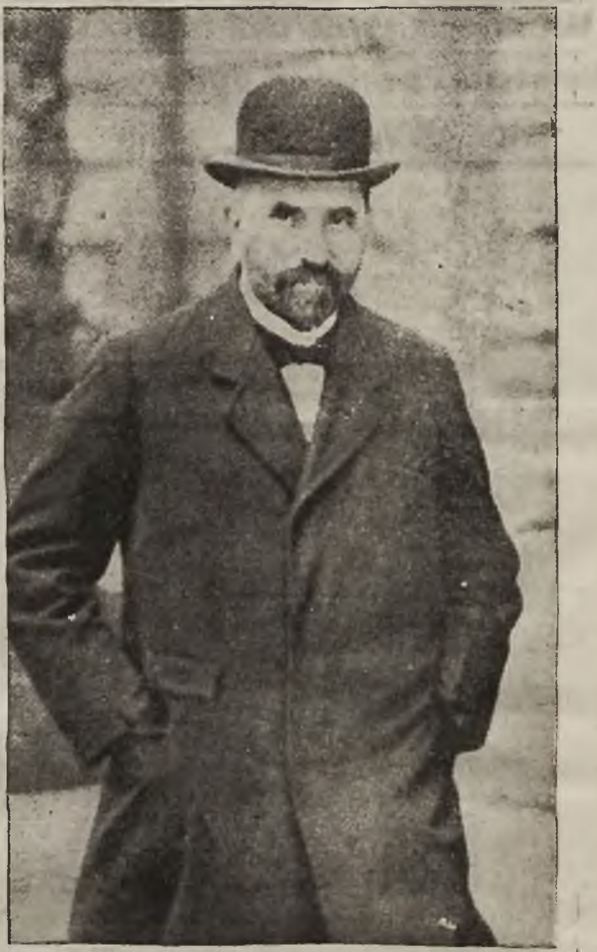
Po decyzyi Ligi Narodów.

Ubiegły tydzień był, jak się zdaje rozstrzygającym w sprawie górnośląskiej. Rada Czterech, złożona z przedstawicieli Belgii, Brazylii, Chin, i Hiszpanii, której Liga Narodów oddała do rozpatrzenia kwestyę podziału obszaru plebiscytowego, wydała swe orzeczenie. Przesłano je natychmiast przez umyślnego kuryera do wiadomości Briandowi, jako przewodniczącemu Rady Najwyższej, która postanowieniem swem z dnia 12 sierpnia b. r. powierzyła Lidze Narodów rozstrzygnięcie tej sprawy, czem zajęła się z ramienia Ligi wspomniana wyżej Rada Czterech. Równocześnie zawiadomiono o decyzyi gabinet angielski i włoski.

Rada Najwyższa ze swej strony zawiadomić miała o zapadłej decyzyi oba interesowane rządy, polski i niemiecki, co już podobno nastąpiło. Oficyalne ogłoszenie rozstrzygnięcia odłożono na środę 19. października, poruczając je Radzie Ambasadorów.

Według nadeszłych z Genewy, a potwierdzonych częściowo przez Warszawę wiadomości, przyznano Polsce powiaty:

Lubliniecki z miastem Lublińcem, Tarnowskie Góry z miastem tejże nazwy, Bytomski wiejski bez miasta Bytomia, około którego bezpośrednio przebiega granica, terytoryum przemysłowe Królewskiej Huty, Katowice wieś i miasto, powiat Rybnik z wyjątkiem zachodniego skrawka, przez który przebiega linia kolejowa Racibórz — Gliwice pozostająca przy Niemcach, cały Pszczyński, południowa część powiatu Zabrze, oraz wschodni skrawek powiatu Raciborskiego aż po prawy brzeg Odry. Brak natomiast ściślej wiadomości o granicy w okręgu przemysłowym na południe od Bytomia w okolicy Orzechowa.



Po decyzyi Ligi Narodów: Hugo Stinnes, król przemysłowy Niemiec, jeden z najżarliwszych obrońców niemieckości Górnego Śląska.

Jeśli zatem komunikat urzędowy potwierdzi te wieści, w takim razie nie otrzymaliśmy wszystkiego co nam się wedle słuszności należało, ale w każdym razie spory szmat polskiej ziemi, przemysłowo wysoko stojącej, z ludnością dochodzącą do ośmiuset tysięcy.

W Niemczech wiadomości z Genewy wywołały łatwo zrozumiałe przygnębienie i staną się niezawodnie powodem ustąpienia gabinetu dra Wirtha. Wysiłki i intrygi Stinnesa i Rathenaua, na które tak liczono, zawiodły, ten ostatni oświadczył nawet głośno, że jedynie z tego powodu zgodził się na pewne ustępstwa na rzecz Koalicyi, iż był pewny, że decyzya w sprawie górnośląskiej wypadnie po myśli Niemiec, to jest, że Górny Śląsk pozostanie przy nich w całości. Wobec zapadłej w Genewie decyzyi Niemcy nie będą wstanie spełnić przyjętych na się zobowiązań.



Po decyzyi Ligi Narodów: Rynek w Rybniku podczas jednej z tegorocznych manifestacyi narodowej.

Postanowienie swe umotywowała Liga Narodów wydanym przez się komunikatem, który brzmi: „Rada musiała przy badaniu kwestyi górnośląskiej w myśl postanowień traktatu pokojowego uwzględnić życzenia mieszkańców, które miały swój wyraz w plebiscycie, jakoteż sytuacyą gospodarczą i warunki gospodarcze kraju.

Największa trudność pochodziła stąd, że ci, którzy oświadczyli się przy plebiscycie za Niemcami, jak i ci, którzy głosowali za Polską, są pomięszani. Nie było możliwe ustalić granicy, któraby na terytoryum spornem nie zostawiałaby Niemców po stronie polskiej i na odwrót. Wszystko, co Rada Ligi mogła uczynić, było starać się zredukować te różnice do minimum. Linia graniczna wobec tych warunków musiała rozdzielać okolice, które ze stanowiska przemysłowego były ściśle ze sobą związane i od siebie zależne.

Rada stanęła wobec faktu, że linia graniczna, któraby nie dzieliła okręgu przemysłowego, spowodowałaby zniszczenie nadziei i życzeń nie tylko mniejszości narodowych małych, lecz także i decydujących większości, które wielokrotnie dały wyraz tym życzeniom i nadziejom. To zadanie było najtrudniejsze. Nie trzeba dodać, że trudności te zwiększyły się przez długi czas rokowań, skutkiem czego ludność obustronna była przez dwa lata w ciągłej niepewności co do swego losu politycznego. Rada zaproponowała wybór komisyi czterech złożonej z zastępców Belgii, Brazylii, Chin i Hiszpanii, celem przeprowadzenia studyów. Prace te doszły do rezultatów. Kwestya nie mogłaby być rozwiązana, gdyby się ograniczono jedynie do wytyczania linii wedle plebiscytu albo z punktu widzenia gospodarczego albo wedle kompromisu.



Po decyzyi Ligi Narodów: Ogólny widok Lublińca.

W jakikolwiek jednak sposób wytyczonoby granicę, skutki jej byłyby zgubne. Z tego powodu Komisya Czterech uchwaliła proponować Radzie Ligi stworzenie na dostatecznie długi okres czasu gwarancyi przeciw jakiejkolwiek zmianie obecnych warunków gospodarczych kraju, by w ten sposób umożliwić zastosowanie życia gospodarczego do nowych warunków.

Rzeczoznawcy i specyaliści w tej dziedzinie, wybrani z pośród członków technicznych Rady, wolni od wpływów zewnętrznych, otrzymali polecenie zbadać warunki gospodarcze Śląska Górnego. Komisya Czterech wezwała tych rzeczoznawców, by zbadali ogólne zarządzenia, których zastosowanie nadawałoby się do zabezpieczenia życia gospodarczego.

Plan stworzenia gospodarczych warunków, któreby zapewniały produkcye na okres czasu o różnej długości, mogący w ważniejszych wypadkach dochodzić do 15 lat — obejmuje szereg umów dotyczących uregulowania kolejnictwa, budowli wodnych, dostarczania siły elektrycznej, zniesienie opłat celnych, opłat od węgla, cynku i innych, wreszcie utrzymania niemieckiej waluty jako ustawowej na terenach przyznanych Polsce.

Rada postanowiła przyjąć te plany równocześnie z gwarancyami dla ochrony mniejszości politycznych, uznając, że w ten tylko sposób możliwe było uwzględnić polityczne dążenia mniejszości w najszerszych ramach, a równocześnie zapewnić utrzymanie interesów gospodarczych kraju".

Nasi ministrowie.

Było pierwotnie naszym zamiarem podać na łamach „Nowości Illustrowanych" podobizny wszystkich naszych ministrów, niestety, przedsięwzięcie to spotyka się z trudnościami, które nie tak łatwo pokonać. Trzeba byłoby znaleźć się na miejscu w Warszawie, starania o fotografie, kierowane z Krakowa nie odnoszą skutku.

W poprzednich numerach naszego pisma zapoznaliśmy P. T. Czytelników z osobami prezydenta gabinetu, prof. Antoniego Ponikowskiego, następnie ministra skarbu dra Jerzego Michalskiego, obecnie kolej przychodzi na ministra spraw wewnętrznych, Stanisława Downarowicza.

Obecny kierownik ministerstwa spraw wewnętrznych dotychczasową swą działalnością na różnych stanowiskach złożył już dowody swej gorliwości, energii i uzdolnienia. Posiada wykształcenie zarówno prawnicze, jak i techniczne, nie jest mu zatem obcy całokształt spraw wchodzących w zakres jego resortu.

Minister Stanisław Downarowicz pochodzi z ziemi Siedleckiej. Urodził się w Łochowie, w r. 1874, liczy więc czterdziesty siódmy rok życia. Do gimnazyum uczęszczał w Radomiu. Po ukończeniu szkoły średniej, studya wyższe rozpoczął od fakultetu prawnego na uniwersytecie warszawskim. W owym okresie tłumienia wszelkiej myśli narodowej przez rząd rosyjski, za swą działalność polityczną został aresztowany i więziony w pamiętnym pawilonie dziesiątym cytadeli warszawskiej. Zmuszony do opuszczenia granic Królestwa Polskiego, udał się do Galicyi, będącej podówczas schronieniem dla całej skompromitowanej politycznie młodzieży polskiej, gdzie kontynuował studya prawne na Wszechnicy Jana Kazimierza we Lwowie, poczem przeniósł się na Politechnikę lwowską, którą ukończył w roku 1908, pracując jednocześnie jako urzędnik w galicyjskim Wydziale Krajowym. Po ukończeniu studyów był urzędnikiem w stanisławowskiej dyrekcyi kolei, poczem zajął stanowisko inżyniera miejskiego we Lwowie. P. Stanisław Downarowicz był jednym z organizatorów Związku strzeleckiego i jako jego członek, z chwilą wybuchu wojny, wstąpił do Legionów, gdzie pełnił zaszczytną służbę pod rozkazami obecnego szefa sztabu generalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, jenerała Wł. Sikorskiego.

W roku 1917, za Tymczasowej Rady Stanu, był p. Downarowicz urzędnikiem w departamencie Spraw Wewnętrznych. Za rządów Rady Regencyjnej w r. 1918 pełnił obowiązki szefa sekcyi administracyjnej, w marcu zaś 1919 r. objął jedno z naczelnych stanowisk w zarządzie kresów wschodnich. W czasie wojny bolszewickiej pełnił odpowiednie funkcye w głównej komendzie przy dowództwie frontu w Wilnie i tam przebywał aż do chwili ewakuacyi. Ostatnio wyróżnił się p. Downarowicz zdolnościami organizacyjnemi na trudnem stanowisku wojewody ziemi Wołyńskiej. Obecny minister spraw wewnętrznych nie należy do żadnego stronnictwa politycznego i został powołany do gabinetu p. Ponikowskiego, jako wybitna siła fachowa.



Nasi ministrowie: Minister spraw wewnętrznych, Stanisław Downarowicz.

Uczczenie zasług prezydenta Clemenceau.

Zasługi wielkich ludzi czci świat zazwyczaj dopiero po ich śmierci, stawiając im pomniki i wysławiając ich pamięć. Niejeden z nich schodzi z tego świata prawie w zapomnieniu, o zasługach jego i wartości przypomina sobie najczęściej „wdzięczne" społeczeństwo w kilka lub kilkanaście lat po ich śmierci, poznając dopiero wtedy, jaką stratę poniosło. Rzadko któremu z zasłużonych na uznanie przypadło w udziale doczekać się go, w tak szczęśliwem położeniu przecież, w jakiem znalazł się wielki polityk francuski Clemenceau, by módz przemawiać osobiście przy okazyi odsłonięcia swojego pomnika, postawionego przez wdzięcznych współziomków, nie był chyba żaden.

„Stary tygrys", jak go popularnie nazywają, usunął się już wprawdzie od polityki, uważając, że godnie spełnił swe zadanie, nie zapomniała o nim Francya, w szczególności zaś ojczyzna Wandea, która pospieszyła z uczczeniem swego wielkiego syna jeszcze za jego życia. W miejscowości Sainte Hermine wystawiono pomnik dla dzielnego Wandejczyka, a uroczystość odsłonięcia stała się świętem narodowem dla całej Francyi, uznającej to, co ma do zawdzięczenia jemu i jego polityce.

Pokonanie najniebezpieczniejszego z wrogów Francyi — to był cel życia Clemenceau'a i do tego zdążała cała jego polityka. Sprzyjało mu szczęście, mógł bowiem własnemi oczyma patrzeć na owoce swej pracy i cieszyć się nimi. Z chwilą podpisania traktatu wersalskiego usunął się Clemenceau z areny życia politycznego, robiąc miejsce młodszym, by pracowali dalej we wskazanym przezeń kierunku. A, że polityka ta była naprawdę mądra, to widzimy z jej skutków, znaczenie Francyi od czasu wojny światowej wzmogło się nadzwyczajnie, Clemenceau



Po decyzyi Ligi Narodów: Walter Rathenau delegat niemiecki do układów z Koalicyą.

zyskał sobie też niezaprzeczone prawo do wdzięczności swych rodaków, która ozłaca jasnymi promieniami jego stare lata i powtarza mu, że był wiernym synem swej Ojczyzny.

W uroczystości odsłonięcia pomnika wzięli udział najwybitniejsi przedstawiciele politycznego świata francuskiego, bez różnicy przekonań, oraz tłumy publiczności ze wszystkich stron Francyi. Wygłoszono szereg przemówień, podnoszących zasługi sędziwego męża stanu, można śmiało powiedzieć, że w dniu tym cała Francya była duchem w Sainte Hermine, gdzie nie brakło oczywiście i samego uczczonego.

W odpowiedzi na przemówienia zabrał głos także i Clemenceau i w słowach natchnionych i przyobleczonych w piękną formę literacką, wysławiał zwycięstwo Francyi, oraz świetną epopeję żołnierza francuskiego. Mowca stwierdził, że zwycięstwo Francyi było zwycięstwem idealizmu nad materyalizmem. Niezbędność szlachetności w polityce jest według mowcy udowodniona już tym faktem, że wojna obecna uwolniła z jarzma niewoli szereg uciśnionych narodów. Zwycięstwo — mówił Clemenceau — jest wspólnem zwycięstwem wszystkich sprzymierzonych, natomiast próba wytrzymałości rozpoczęła się dopiero w chwili, gdy nieprzyjaciel został pokonany i rozbrojony.



Uczczenie zasług prezydenta Clemenceau: Clemenceau w swej pracowni podczas odczytywania listów.

Ujęcie fałszerzy tysiącmarkówek w Warszawie.

Od dłuższego już czasu kursowała znaczna ilość fałszywych tysiącmarkówek, a wszelkie starania policyi, aby ująć w swe ręce puszczających i wyrabiających falsyfikaty, nie osiągały skutku. Aresztowano wprawdzie kilka indywiduów, przy których znaleziono bardzo zręcznie podrabiane banknoty, za każdym razem urywała się przecież nić śledztwa, gdyż przytrzymani potrafili się zawsze wytłómaczyć, że są niewinni, a podrobione sztuki, nie wiedząc o tem, że nie są prawdziwe, otrzymali przy swych transakcyach handlowych, gdzie jednak i od kogo, tego podać nie umieli. Zwłaszcza w Zagłębiu Dąbrowskiem kursowała wielka liczba falsyfikatów, i to tak starannie wykonanych, że trzeba było być znawcą, aby poznać, iż nie pochodzą z drukarni państwowej, lecz prywatnej. Trzeba było dopiero przypadku, aby ująć bandę fałszerzy, którzy prawie pod bokiem władz, bo w bezpośredniem sąsiedztwie Warszawy, uprawiali od dłuższego czasu swój karygodny proceder i puścili dotąd w obieg fałszywych banknotów na sumę ponad dwadzieścia milionów marek.

De facto nie były to falsyfikaty, lecz banknoty, sporządzone według oryginalnych klisz, skradzionych w grudniu ubiegłego roku w zakładzie graficznym Wierzbickiego w Warszawie, gdzie do lutego b. r. odbywał się druk naszych biletów bankowych, przy użyciu tejże samej farby i papieru oraz oryginalnych numeratorów.

Jak donoszą pisma warszawskie już w czerwcu br. zwrócił dyrektor P.K.K.P. p. Karpus uwagę, że do kas państwowych wpływają banknoty tej seryi, która jeszcze nie była w obieg puszczoną. Wtedy dopiero „przypomniał sobie", że w grudniu 1920 r. skradziono w zakładach Wierzbickiego oryginalne klisze, służące do wyrobu banknotów, o czem P. K. K. P. zawiadomiono już... w lutym 1921. Zwrócono zatem na okoliczność tę uwagę policyi, która rozpoczęła dochodzenia na razie nie uwieńczone pozytywnym rezultatem.

Wobec takich iście sielankowych stosunków, jakie panowały przy druku banknotów, dziwić się wypada, że fałszerze byli tak skromni i puścili ich w obieg tylko dwadzieścia milionów. Jaką kontrolę stosowano w zakładzie Wierzbickiego, świadczy fakt, że oryginalne klisze cynkowe poniewierały się dłuższy czas na oknie, dopóki nie zlitował się nad niemi złodziej i nie zabrał ich, by nie leżały bezczynnie, skoro mogą komuś jeszcze przynieść pożytek.

Na trop fałszerzy wprowadziła władze dopiero w początkach października br. czujność i przezorność kilku funkcyonaryuszów policyi w Będzinie. Mianowicie zwrócono uwagę w Będzinie na niejaką Waleryę Hirszbergową, która żyła bardzo dostatnio bawiąc się i ucztując całemi dniami i nocami. Poli-



Uczczenie zasług prezydenta Clemenceau: Clemenceau przemawia podczas odsłonięcia swego pomnika w Sainte Hermine.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

I.

Zamiast przepędzić noc w zajeździe we wsi, gdzie musiałem zmienić świeże konie i gdzie mógłbym biedną Maryę uchronić choć na kilka godzin przed zimnem, wybrałem się napowrót w drogę w obawie jakiego pościgu.

Śnieg padał coraz gęściej i noc ciemna była, rozjaśniona tylko od czasu do czasu nikłymi promieniami księżyca, przedzierającymi się przez chmury. Drzewa, które mijaliśmy po drodze, rzucały ponure cienie na całun śnieżny, pokrywający ziemię całą. Pędziliśmy jednak pomimo utrudnionej drogi z taką szybkością, że w pewnej chwili sanie zahaczyły się o jakiś kamień i jeden z koni został zabity.

Znajdowaliśmy się wówczas w miejscu zupełnie opustoszałem. Nigdzie, jak oko dosięgło, znaku zabudowania lub światła, prócz całuna śnieżnego, rozciągającego się wokoło!

Pocztylioni wraz ze mną klęliśmy jak potępieńcy. Starali się oni jak najlepiej naprawić szkodę wyrządzoną, ale oświadczyli mi w końcu, że niemożliwością jest jechać dalej tylko o jednym koniu.

Staliśmy więc tam już przeszło pół godziny, sami, otoczeni ciemnością nocy, kiedy doszedł mię nagle szybki tentent zbliżającego się zaprzęgu. Przez chwilę pomyślałem, że ktoś przybywa nam z pomocą, lecz przypomniałem sobie zaraz o tej trójce, którą dojrzałem za dnia i która zdawała się nas ścigać z taką zaciekłością. Łudziłem się przecież nadzieją, że to nie niebezpieczeństwo zbliża się ku mnie, lecz naprawdę pomoc niespodziewana.

Kim by miał być ten człowiek, nadjeżdżający ku mnie, odkupię od niego na wagę złota jednego konia, ażeby go przyłączyć do mojego i móc puścić się w dalszą drogę.

Tentent zbliżał się. Umieściliśmy się z mojemi saniami w poprzek drogi. Pocztylionom moim powiedziałem, że spodziewam się ratunku od ludzi przybywających, sam zaś byłem gotów ratunek ten wydrzeć im choćby przemocą i siłą.

Wkrótce trójka ukazała się na drodze, pędząc wyciągniętym galopem. Uzbrojony byłem w dwa rewolwery i sztylet, z którymi nie rozstawałem się nigdy. Stanąłem na środku i dałem znak powożącemu trójką, aby się zatrzymał.

Człowiek ten owinięty był w duży płaszcz futrzany, a na głowie miał czapkę barankową głęboko nasuniętą na oczy.

Zdawało się, że chce przejechać, nie zważając na przeszkodę, choćby po mojem ciele, ale podskoczyłem nagle i uczepiłem się z całych sił cugli pierwszego konia.

Trójka zatrzymała się jak wryta w ziemię.

— Ktokolwiek jesteś — zawołałem — musisz nam dopomóc. Ustąp mi swoich sani i koni, a dam ci, co zechcesz!

Człowiek zeskoczył na ziemię i odpowiedział strasznym, wzburzonym głosem.

— Przybywam do ciebie po Maryę, podły złodzieju kobiet.

— Ona tu jest! — wykrzyknąłem tryumfująco, wybuchając ironicznym śmiechem. — Ale ty jej nie dostaniesz, Johannie Straube!

W chwilę później, o kilkanaście metrów od mojego zaprzęgu rozpoczęła się straszna walka pomiędzy mną a kochankiem Maryi.

Związaliśmy się ramionami tak silnie, że żaden z nas nie mógł wydobyć broni. W wściekłym szale gnietliśmy sobie piersi aż do zaduszenia, wydzieraliśmy sobie kawałki ciała z twarzy, gryźliśmy się, jak dwa psy wściekłe. Choć tamten był silniejszy i młodszy odemnie, dotrzymywałem mu placu, bo rozpacz i gniew nieprzytomny wyolbrzymiał w tej chwili moje siły. Jednakże szukałem sposobu dostania się do mojego sztyletu, bo przeczuwałem, że ten człowiek w dłuższej walce okazać się może zwycięzcą. Po rozpaczliwych wysiłkach udało mi się nareszcie uwolnić jedną rękę i kiedy on przyciskał mi kolana do piersi i rękami dusił moje gardło — zręcznym ruchem zagłębiłem mój sztylet w jego piersiach.

Johann Straube wyzionął ducha natychmiast. Czułem, jak ręce jego wypuszczają mnie z uścisku i sztywnieć zaczynają wokoło mojej szyi.

Ciało jego zwaliło się na ziemię jak kłoda. Powstałem szybko, pochwyciłem jednego konia za uzdę i podciągnąłem całą trójkę do moich sanek.

Pocztylioni spoglądali na mnie ze zdziwieniem i grozą, lecz nie wyrzekli ani słowa. Walka trwała krótko i rozegrała się w pewnej odległości od nich. Zrozumieli tylko, że siłą musiałem odebrać konie podróżnemu.

Lecz jakież szalone było moje zdumienie, kiedy powróciwszy do swoich sanek, zastałem Maryę napół wyprostowaną na poduszkach, z oczami błędnemi, wlepionemi we mnie. Na twarzy jej sinej bladości malował się wyraz szalonego lęku i zgrozy.

Pochyliła się ku mnie nadludzkim wysiłkiem i z ust jej, wykrzywionych konwulsyjnie, padł jeden tylko, jedyny wyraz:

— Morderco!

Rzuciłem się ku niej, miotany dwoma sprzecznemi uczuciami, radością i gniewem, lecz ona w tejże samej chwili opadła ciężko na poduszki i znowu zapadła w ciężki sen letargiczny. Naprawiliśmy sanie, posługując się osią zaprzęgu mojego zabitego rywala i ruszyliśmy w dalszą drogę ku Warszawie.

Ciało Johanna Straube pozostało na drodze w zaspach śnieżnych, na pastwę kruków, grasujących stadami po tych bezkresnych stepach Rosyi.

Przybyliśmy do Warszawy bez żadnego wypadku i pozostaliśmy tam dni piętnaście. Stan Maryi w tym czasie pogorszył się jeszcze. Nie była już to istota żyjąca, tylko posąg biały, blady, leżący z rozkrzyżowanemi ramionami, nie dający najmniejszego znaku życia. Powieki jej przybrały straszny, zielonkowaty odcień, a na jej twarzy zamarł wyraz obłędnej trwogi i wstrętu. Wyraz ten, datujący się od chwili śmierci Johanna Straube, nie znikł już nigdy z jej pięknej twarzy.

Byłem tak zrozpaczony, że odważyłem się na przywołanie najsławniejszych lekarzy z Warszawy, aby usłyszeć ich zdanie co do zatrważającego stanu Maryi.

Oczywiście nie zdradziłem im, w jaki sposób zapadła w ten stan letargiczny, lecz jeden z nich odgadł całą tajemnicę i wyszedłszy ze mną do drugiego pokoju, wprost oświadczył mi kategorycznie, że to ja jestem przyczyną letargu Maryi i że popełniłem straszną nieostrożność, zmuszając ją do przyjęcia mojej suggestyi hypnotycznej. Na zapytanie moje, co czynić należy, aby ją nareszcie wyrwać z tego śmiertelnego snu, odpowiedział, że jedynie jakiś silny, dotkliwy ból fizyczny odnieść może pożądany skutek. Następnie objaśnił mi, że najskuteczniejszą jednak rzeczą byłoby przystąpić do jakiejkolwiek operacyi, uczynionej na martwem ciele Maryi.

Lecz myśl ta była w pierwszej chwili tak straszną dla mnie, że nazajutrz wyjechałem z Warszawy, aby się udać do Paryża.

Podróż z tą kobietą, zamarłą w śnie katalepticznym, była dla mnie bardzo ciężka i przedstawiała wiele niebezpieczeństw z powodu podejrzeń, które obudzałem wszędzie. Musiałem przecież zwalczyć wszystkie przeszkody przy pomocy pieniędzy, przebiegłości i zuchwalstwa. Po przybyciu do Paryża udałem się znowu po poradę do lekarzy. Kilku najsławniejszych profesorów medycyny oświadczyło mi, że Marya jest zgubiona i że nic już ją uratować nie może. Jeden tylko — doktór-hypnotyzer — powtórzył mi to, co już słyszałem w Warszawie. Aby wyrwać Maryę z tego snu, trzeba było, aby odczuła jakiś ból straszny, dotkliwy, któryby siłą swoją obudził w niej zamierające życie!

Wierzcie mi, wy, którzy czytacie teraz tę spowiedź moją, że pomimo tego zapewnienia, które sam uznawałem za konieczne, wahałem się jeszcze dwa miesiące, zanim zdecydowałem się na ten krok ostateczny. Ludziom czyn ten wyda się oczywiście czemś ohydnie podłem i strasznem, lecz ja przywołać chciałem do życia nad wszystko ukochaną kobietę, a nie mogłem znieść tej myśli, abym ją miał stracić na zawsze! Sądzę, że u tych, którzy kochali kiedyś głęboko, do szału, do zbrodni, do nieprzytomności zmysłów — łatwo uzyskać mogę przebaczenie.

Oh! ta noc! ta noc okropna, podczas której dokonałem tego czynu! Nie zapomniałem jej nigdy. Nocy tej, te resztki włosów, które chroniły jeszcze moją czaszkę ogołoconą — osiwiały zupełnie! Nigdy już — a cierpiałem jak potępieniec przez całe moje życie — nie doznałem tak okropnego bólu, jak wówczas, kiedy przy pomocy najpierwszego z chirurgów Francyi, dokonałem na ciele Maryi tej operacyi, mającej jej powrócić życie — amputacyi tej pięknej, białej jak marmur ręki!

Oh! ten okrzyk! ten wstrząsający, okropny, nieludzki krzyk mojej ofiary! Był to krzyk dzikiego zwierza, ugodzonego śmiertelnie. Musiałem szalenie kochać Maryę i aż do zbrodni pragnąć jej powrotu do życia — jeżeli na krzyk ten nie oszalałem, nie stałem się sam dzikim zwierzem, wyjącym z bólu i wściekłości!

Byłem w posiadaniu cudownej tajemnicy konserwowania ciała ludzkiego, zachowującą mu pozór życia pierwotnego. Tajemnicy tej zawdzięczam sławę moją i majątek. Byłem więc pewnym, że rękę Maryi potrafię zachować nienaruszoną, żywą prawie. Lecz kiedy ujrzałem okrwawione, zohydzone ramię Maryi, jej ciało wijące się w konwulsyach nadludzkiego bólu, kiedy usłyszałem z ust jej ukochanych słowo przekleństwa i nienawiści, spadające na moją głowę, kiedy ujrzałem przepiękne jej oczy, gorejące wstrętem i pogardą — wówczas uczułem po raz pierwszy wyrzut i żal do siebie, iż nie pozostawiłem Maryi śmierci, czyhającej już na nią!

Oh! tak! w tej chwili byłbym wolał widzieć ją zamierającą stopniowo w śnie kataleptycznym! Ale kochałem ją jak potępieniec, a szał miłości w istotach takich jak ja, nieszczęśliwych i dumnych, przybiera najczęściej formę najpodlejszego okrucieństwa!

Świadomie, z premedytacyą, dokonałem zamachu na niepokalaną piękność Maryi i na zawsze odtrąciłem od siebie jej duszę!

Ofiara moja dosyć szybko powróciła do zdrowia. Piekielny ból, odczuty przy amputacyi, wyleczył ją na zawsze z katalepsyi. Ramię jej zaś zagoiło się normalnie dzięki opiece i staraniom lekarza, któremu zaufałem zupełnie i dzięki jej młodości, ożywionej krwią zdrową i silną.

Nazajutrz po operacyi nocą, płacząc jak dziecko, przystąpiłem do zabalsamowania tej ręki, którą z własnej woli odłączyłem od ciała Maryi. Przerywałem co chwilę moją pracę, aby ucałować jej zlodowaciałe palce i oblać je gorącemi łzami rozpaczy. Przyznać muszę, że dokonałem arcydzieła w swoim rodzaju, dając tej ręce uciętej świeży, niekłamliwy pozór życia. Obciążyłem jej smukłe palce najbogatszymi pierścieniami, napoiłem tę skórę delikatną, cienką i przezroczystą najwybredniejszymi zapachami i złożyłem na posłaniu, uczynionem z czarnego aksamitu, w szkatułce, którą zabierałem zawsze ze sobą, kiedy wypadło mi gdzie wyjechać i opuścić na czas jakiś Maryę.

Kiedy Marya spała sama w swoim pokoju, do którego wejścia broniła mi zawsze nieprokonana i niezwyciężona — spędzałem noce całe w swoim gabinecie, wpatrując się bez przerwy w tę rękę uciętą i zdawało mi się, że z tej drogiej, bezcennej relikwii mojej czerpię nowe siły i energię do życia.

Ale od dnia fatalnego, w którym to zgubiłem tę rękę w wagonie na linii Neapol-Rzym — przeczułem już, że jesteśmy wszyscy zgubieni i że Marya, Alimena i ja umrzeć musimy.

Lecz pomiędzy mną a kobietą, której zabrałem wszystko, męża, córkę, majątek i stanowisko w świecie i której prócz tego zabrałem kochanka, wolność i cześć jej piękności — zawiązały się stosunki tak dziwaczne, tak szczególne dla mnie i dla niej, że nie wiem dopprawdy, jak mogliśmy przetrwać to wszystko przez lat piętnaście. Była więźniem moim, to prawda, ale więźniem tak dumnym, tak wyniosłym, że ja raczej byłem niewolnikiem, oddanym jej usługom i kaprysom. Widziała, jak zamordowałem Johanna Straube i ilekroć tylko mogła, rzucała mi w twarz wyraz: „Morderco!" Była w mojej mocy i często gniew mój dochodził do granic nieprzytomności umysłu, lecz kiedy zbliżałem się do niej, aby ujarzmić ją siłą lub podstępem, ona pobijała mnie taką pogardą, że odchodziłem zniechęcony i upodlony jeszcze więcej jej urokiem. Po stokroć razy mogłem posiąść tę kobietę, której krew moja pragnęła całą siłą — lecz nie dotykałem jej nawet! Jakaś szalona nadzieja wstrzymywała mnie od tego — nadzieja, że miłość moja musi kiedyś ją wzruszyć, że ją zdobędę przecież uporem moim, stałością i obietnicą powrócenia jej córki.

A przytem liczyłem na czas i samotność. A przecież ani razu nie wyszedłem z pokoju tej kobiety, aby mnie stamtąd nie wypędziła jej pogarda i obraźliwe słowa, któremi mnie zawsze obrzucała. (C. d. n.)

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

9)

Kazia powróciwszy tego wieczora do domu oznajmiła krótko zdziwionym rodzicom i siostrom:

— Zaręczyłam się. Z panem Julianem Woźniewiczem, moim kolegą z b ura, człowiekiem dynstyngowanym, z arystokratycznej rodziny.

— Patrzcie państwo! *z arestokratycznej!* a czy on bogaty? -- zapytała matka, a ojciec, krępy, barczysty mężczyzna z opuchłą czerwoną twarzą alkoholika machnął ręką i wyjawił swe sceptyczne zapatrywanie!

— Czy to pierwszy raz? pewnie z tego znowu nic nie będzie!...

ROZDZIAŁ V.

Stefa Łączkówna w garderobie, którą zajmować miała z trzema jeszcze innemi chórzystkami zaanektowała odrazu dla siebie najwygodniejszy stolik i największe lustro. Poprzednia właścicielka gwałtem z własności swojej wyzuta próbowała wprawdzie protestować, a Stefa zachowała się z taką bezwględną pewnością siebie, że tamta choć zaprawiona do codziennych kłótni z koleżankami zdecydowała się ustąpić.

Wszystkie tylko sarkały na nią po cichu nie śmiejąc głośno zaczepić.

— Zośka, tej nowej trzebaby przykrócić buzię. Strasznie sobie śmiało poczyna.

— Ba! podobno ma plecy — odszepnęła Zośka — przecieżby jej inaczej nie trzymali, bo fałszuje aż uszy bolą!

— Jak się tak „sypnie" na spektaklu to dopiero będzie! reżyser się chyba wściekonie...

— Nic się jej nie stanie! ona już reżysera ma za sobą. Psiakrew, takie coś, to ma szczęście, a tu człowiek tyle lat dyma i dyma te chóry za nędzną zapłatą!...

Stefka siedząc przed lustrem z ogromną starannością „robiła" sobie twarz. Niezmiernie szybko zgłębiła tajemnicę charakteryzacyi, w czem jej niemało pomocą były jej uprzednie studya w dziedzinie „sztuki stosowanej". Wiedziała doskonale jakiemi pociągnięciami ołówka uwydatnić blask oczu, jaką ilością i jakiemi kombinacyami szminki wysubtelnić rysy i nadać cerze barwy olśniewające przy świetle kinkietów scenicznych.

Mając przedstawiać jedną z artystek z „parteie" w „Księżniczce czardasza" przywdziała ognistoblond perukę wpadającą w odcień miedzi.

W ognistych włosach błyszczał wielki motyl z zielonych kamieni. Były to tylko skromne chryzoprazy szmaragdów, o których Stefka marzyła, Chaniewski nie chciał sprawić.

— Wstrętny sknera — pomyślała, przymocowując do loków peruki ćwierć szlachetny klejnot — ale niech no ja się tylko wygrzebię w górę!...

— Suknia zato nie pozostawiała nic do życzenia. Jedwabna pąsowa gaza bardzo głęboko wycięta i sięgająca dołem zaledwie do kolan, odsłaniała w całej wspaniałości przepyszne ramiona, nieco zagrube w wiązaniach, białe jak alabaster plecy, wyniosły jędrny biust i nogi niezupełnie rasowe, ale silne i pociągające oko pełnią formy. Suknia spięta była na ramionach sprzączkami imitującemi złoto, przewiązana w pasie złotym sznurem. Zielone kamienie migotały wśród ognistych loków, kocie oczy Stefy lśniły fosforyzująco. Sprawiała wrażenie, jakby była utkana z płomienia krwi i grynszpanu.

Tamte trzy chude, sterane, podstarzałe w lichych, teatralnych gałgankach, w cerowanych trykotach, spoglądały na nią z palącą zazdrością.

— Patrzcie — syknęła cicho Zośka — jak się to wystroiła! Prymadonna!... krowienta.

— Ani to śpiewać, ani się ruszać nie umie! to musi te grube łydki pokazywać — dogadywała również po cichu druga, zwana „czarną" Walka, której słabą stroną były cienkie jak patyki nogi nieco skrzywione przez przebytą w dzieciństwie angielską chorobę.

Do uszu Stefki dolatywało to i owo zjadliwe słówko, ale nie zwracała na to uwagi... cała zasłuchana w mowę swego zwierciadła. Co ją mogły obchodzić te zawistne sroki, kiedy pewną była, że oczaruje, olśni publiczność swoim wyglądem... kto wie może nawet zaśmić artystki odtwarzające główne role... W swej naiwnej zarozumiałości uważała to za rzecz zupełnie możliwą nawet wielce prawdopodobną...

— Jedna ma nogi w iks, druga jest garbata... A ja... uśmiechnęła się z zadowoleniem do swego wizerunku w lustrze...

— Chór na scenę!... chór na scenę!...

Chórzyści i chórzystki na wezwanie inspicyenta biegną zajmować miejsca w lożach, przypominających raczej budki z wodą sodową i „wabić" publiczność budapeszteńskiego „Variete".

Stefka nie zmięszana bynajmniej sadowi się nie zupełnie podług wskazówek reżysera ale tak żeby ją było widać. Wytęża wzrok, aby zobaczyć kogoś na widowni w pierwszych rzędach i w lożach przy scenie. Na razie jednak niczego dojrzeć nie może w ciemności zalegającej salę. Artystka śpiewająca partyę Sylwy Varescu tańczy czardasza w rytmie zanadto powolnym, markując sztuczną gwałtownością ruchów temperament, którego niema ani w jej tańcu, ani w ładnej spokojnej twarzyczce. Głos dźwięczy czysto, przyjemnie, ale nie ma w nim ognia, nie wibruje on szałem dzikiego zapomnienia cygańskiego. Stefce nagle poczyna wrzeć krew w żyłach. Chciałaby w tej chwili znaleść się na miejscu prymadonny. Ona by pokazała jak się to tańczy!

Powoli oczy jej przyzwyczajają się do ciemności panującej na widowni i poczynają rozróżniać w pierwszym rzędzie fotele sylwetki widzów. Stefka ma wzrok doskonały i skoro się raz oswoiła z mrokiem spostrzega nawet, że tam ktoś wpatruje się w nią bezustannie przez lornetkę. Rysów twarzy rozpoznać nie może, ale sama świadomość tego spojrzenia skierowanego na nią niechybnie z podziwem i z zachwytem napełnia ją uciechą i daje błogie poczucie pewności siebie.

Antoni Bąbel — on to bowiem zajmował fotel w pierwszym rzędzie i pomagając sobie szkłami binokli i lornetką pożerał formalnie Stefę wzrokiem. Po chwili ścisnął za ramię siedzącego obok niego Olczaka.

— Redaktorze! ona jest na scenie!

— Co za ona?

— No ta klientka ze sklepu ta śliczna blondyuka, o której panu mówiłem. Panie! patrz pan jak ona cudownie wygląda! co to za kobieta! ja czuję jak się we mnie burzy wszystko!

Bąbel w swojem entuzyastycznem uniesieniu mówi trochę za głośno. Ktoś z sąsiadów syka.

— Ciszej, ciszej panie Antoni — uspokaja go Olczak — pomówimy o tem w czasie pauzy.

— Ach panie redaktorze! żeby to prędzej była pauza!...

Boni canciano otoczony wianuszkiem chórzystek śpiewa swoją „szlagerową" piosenkę o dziewczątkach z Variete.

„Dziewczątka, dziewczątka, dziewczątka z Variete
Nie biorą miłości zbyt surowo"...

Przy wykonywaniu ewolucyi tanecznych Stefa wyróżnia się stanowczo.

W śpiewie ucięła wprawdzie kilka „kiksów", ale zato ruchy jej są śmiałe, gibkie, wdzięczne. Już nie tylko sam Bąbel. ale kilku innych mężczyzn na sali przykłada do oczu lornetki aby obserwować tę złoto-krwawą dziewczynę. W cieniu loży dyrektor Chaniewski poprawia i przeciera szkła i uśmiecha się lekko kątami swych swych wąskich ust. W najgłębszych mrokach, gdzieś w jednym z ostatnich rzędów tkwi Julian Woźniewicz. Wybrał się do teatru w tajemnicy przed matką i narzeczoną, której skłamał, że ma pilną robotę wieczorną w biurze. Nie słyszy nic, nie widzi nikogo na scenie oprócz Stefy, nigdy nie wydawała mu się tak porywająco piękna, a jednocześnie dławi go jakiś wstręt. Ta nawpół naga, wyzywająca kobieta, wywraca wszystkie jego wyobrażenia o godności i czystości niewieściej podrywa głęboko zakorzenione pojęcia przyzwoitości, towarzyskiej, burzy cały gmach norm etycznych, on wstydzi się za nią i za siebie, pogardza nią, a jednak... jednak nie odszedłby stąd w tej chwili za żadną cenę, nie odwróciłby oczu od obrazu, który go smaga, wstrętem przejmuje i sprawia mu ból nieopisany. Zapomniał o Kazi, o swoich zaręczynach, o całym świecie. Widzi tylko, że Stefka jest bardzo piękna, równie piękna jak zła, ordynarna i bezwstydna, i że on przez to cierpi strasznie i z tem cierpieniem rady sobie dać nie może.

„Dziewczątka, dziewczątka, dziewczątka z Variete
Nie biorą miłości zbyt surowo!...

Bąbel porwany upajającą melodyą, która mu się zlewa w jedno z urokiem zielonych oczu Stefy i z wężową gibkością jej przepysznie rozwiniętych kształtów zaczyna nucić razem z artystami. Sąsiedzi znowu sykają, Olczak ciągnie go za rękaw.

— Panie Antoni niech oni sami śpiewają na scenie, nie pomagaj im pan! to nie uchodzi...

Bąbel zachowuje się jednak zupełnie jak pijany. W chwilach, kiedy chóru niema na scenie wyjawia głośno zdanie, że to wszystko jest nudne i „pod psem". Dopiero, gdy Stefa pojawia się, uspokaja się, zaczyna słuchać i patrzeć... przyczem daleko uważniej patrzy niż słucha.

Po zapadnięciu kurtyny niektórzy z widzów byli mocno zdziwieni faktem, że jejmość w czekoladowej sukni zajmująca jedno z bocznych krzeseł w trzecim rzędzie ociera sobie łzy z oczu.

— Oj Boże! Boże!...

— To panią tak wzruszyło? — pyta sąsiadka — niema czem się przejmować. Edwin wróci do Sylvy, oni się pobiorą.

— E! moja pani, gdzie mi tam o te głupie komedyanckie historye chodzi — odpowiada Łączkowa — ale tu się moje dziecko *kompremituje.* My z porządnej familii! jej ojciec w uniwersytecie był, ona zamąż wyjść powinna, a nie goliznę w teatrze pokazywać!...

-- Któraż to pani córka?

— A ta w czerwonem i perukę sobie rudą wsadziła!

— A to bardzo ładna dziewczyna!...

— Pewnie, że ładna! do mnie podobniusieńka... kubek w kubek jakem w tych latach była. Z taką urodą toby mogła i hrabiną zostać albo nadradczynią!... A ona taki wstyd, takie zgorszenie robi!...

Bąbel, skoro tylko zapuszczono kurtynę chwycił swego doradcę reportera gorączkowo za rękę.

— Redaktorze, radź co robić. Ja jej bukiet na scenę poślę!...

— Czyś pan oszalał? chórzystce kwiaty na scenę? Przecież to byłby skandal niesłychany. Wszystkie solistki by się obraziły. Tak nie można.

— Więc co? więc jak?

— Poślij-że pan te kwiaty do garderoby z biletem zapraszającym na kolacyę po przedstawieniu.

— Dobrze! ślicznie! cudownie!

— A jak ona się nazywa? — zapytał Olczak.

— Ba! żebym to ja wiedział.

— No to tego trzeba się przedewszystkiem dowiedzieć. Poczekaj pan, zaraz pójdę za kulisy i zapytam się.

— Redaktorku! ty jesteś nieoceniony!...

Po drugim akcie Stefie przyniesiono do garderoby wspaniały kosz purpurowych róż, z biletem wizytowym Antoniego Bąbla, który wyrażając swój podziw dla jej piękności i „talentu" zapraszał ją w gorących słowach na kolacyę. Stefa uśmiechnęła się niedbale, koleżanki, patrząc na ten wymowny dowód jej powodzenia, posiniały. Łączkówna wiedziała o tem dobrze jak silne wrażenie zrobiła od pierwszego wejrzenia na bogatym właścicielu drogueryi. Była niezmiernie zadowolona z tej zdobyczy czując, że to jest coś pewnego i postanowiła z rąk jej nie wypuścić. Trzeba tylko postępować mądrze i ostrożnie. Na kolacyę pójdzie, ale niech sobie ten grubas nie myśli, że to tak od razu! Oho!... Niema głupich!...

(Dalszy ciąg nastąpi).



ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staszewskiej.

TOM II.

— Kąpiel w Kons nie ma z tem nic wspólnego. Co do porażenia słońcem... nigdy go nie doznałeś. Zacząłeś się czuć niedobrze... czy nie tak?... wkrótce po odpłynięciu.

— Tak.

— Czy cię nigdy nie uderzyło, że młody człowiek jak ty, cieszący się doskonałem zdrowiem, żyjący na otwartem powietrzu w jednym z najlepszych klimatów na świecie, może zapaść na tajemniczą chorobę?

— Tajemniczą?

— Czyż nią nie była?

— To bardzo dziwne rzeczywiście. Zawsze to myślałem.

Pochylił się trochę utkwiwszy oczy w Isaacsona.

— Jaką była moja choroba?

— Zatrucie ołowiem — rzekł Isaacson zwolna z wysiłkiem.

— Ołowiem?... Nigel pochylił się więcej naprzód... — zatrucie ołowiem?

— Tak.

— Zostałem... mówisz, że zostałem zatruty ołowiem?

— Zatruwany dzień po dniu, stopniowo przez znaczny przeciąg czasu.

— Otruty!

Nigel powtórzył to słowo ciężko, prawie ponuro.

— Gdybym nie był w porę przyjechał, byłbyś niewątpliwie zabity.

— Zabity! Lecz... lecz kto na Boga chciałby mnie zabijać?

Isaacson milczał.

— Kto chciałby mnie zabijać? — powtórzył Nigel.

Tym razem nuta gwałtowności brzmiała w jego głosie.

— Był ktoś na Lonlii, kto pragnął twojej śmierci.

— Ale kto?... Kto? Nubijczycy? Ibrahim? Hanza?

Isaacson nie odpowiadał. Nie mógł odpowiedzieć w tej chwili.

— Postępowałem z nimi dobrze. Płaciłem dobrze, mieli wszystko, czego im było potrzeba. Mieli łatwe życie. Wszyscy oni zdawali się nas lubieć. Lubili nas, wiem, że lubili.

— Nie mówię, że nie.

— A więc co chcesz powiedzieć? — Nie było nikogo więcej.

— Owszem, był jeszcze ktoś.

— Był. A zatem nigdy go nie widziałem! Czy chcesz powiedzieć, że ktoś się ukrył w łodzi? Co ty rozpowiadasz, Isaacson?

Gniew zaczynał go coraz więcej podniecać.

— Armine, wynagrodzenie, którego żądam, jest to: nie chcę ciebie wyleczyć i pozostawić tutaj w Egipcie. Chcę zabrać cię z sobą.

— Zabrać mnie? Dokąd?

— Napowrót do Anglii.

— Wrócimy do Anglii jak tylko nabiorę sił. Lecz nie powiedziałeś mi. Mówisz, że zostałem otruty. Chcę wiedzieć przez kogo?

* * *

— Ale może sam nie wiesz? Wiesz?

Isaacson wstał. Nie mógł usiedzieć.

— Jeżeli chcesz mi się wywdzięczyć, pozwól, mech cię spokojnie zabiorę... jestem lekarzem. Nikomu nic na myśl nie przyjdzie. Nie potrzebuję mówić więcej.

— Zabrać mnie! Ale jestem prawie zdrów i nie może być mowy o niebezpieczeństwie.

— Jeżeli pojedziesz ze mną... nie.

— Ale zapominasz, że nie jestem sam. Muszę się naradzić z moją żoną.

— Tego właśnie sobie nie życzę.

— Nie życzysz! Chcesz, żebym pojechał bez...

— Bez Mrs. Armine.

— Opuścić moją żonę?

— Tak.

— Dlaczego?

— Isaacson milczał.

Nigel patrzał na niego przez chwilę, która się wydała doktórowi strasznie długą. Poczem twarz Nigla zaczęła się czerwienić. Żyły wystąpiły mu na czoło, lecz wnet krew spłynęła ukazując straszną bladość i wpadnięte oczy.

— Ty... śmiesz myśleć... ty śmiesz... mówić... — jaka!

— Mówię, że musisz opuścić Mrs. Armine. Nie pytaj się mnie dlaczego!

— Ty... ty kłamco! Ty przeklęty kłamco!

Mówił zwolna niskim przytłumionym głosem.

— Że jej nienawidzisz... wiedziałem o tem! Powiedziała mi. Lecz... że... że... się ośmielasz...

Głos mu się załamał i umilkł. Pochylił się wyciągając rękę.

— Wychodź! — rzekł — Wychodź! Gdybym... gdybym był sobą, wyrzuciłbym!

— Lecz Isaacson się nie ruszył. Nie czuł gniewu, lecz tylko wielką litość dla tego człowieka, który nie mógł dostrzedz, nie mógł zrozumieć prawdy o kobiecie, z którą tak długo żył, jak mu się zdawało, w doskonałej jedności. Było coś bolesnego w tem zaślepieniu, lecz i pięknego także.

— Jeżeli mam wyjść, musisz mnie wprzód wysłuchać — rzekł.

— Nie chcę słyszeć... ani słowa.

I znowu wskazał mu drzwi.

— Uratowałem ci życie — rzekł Isaacson — i musisz mnie wysłuchać.

I bardzo spokojnie, bardzo stanowczo, z wielką prostotą powiedział mu, co miał do powiedzenia. Nawet teraz nie mówił wszystkiego. Zamilczał o bytności Mrs. Chepstow w jego konsultacyjnym gabinecie. Nie wspomniał o Barondim. W tej chwili kryzysu, człowiek urodzony w Anglii zwalczył w Isaacsonie wschodniego żyda. Lecz opowiedział swoje wizyty w Savoy: jak ostatnim razem poszedł do niej, chcąc ją skłonić do zaniechania podróży do Egiptu; jak zaczął o tem mówić, lecz jej zimna, pogodna i bezlitosna ironia ukazały mu bezużyteczność tego kroku. Przeszedł do późniejszego czasu po małżeństwie i wyjeździe, kiedy otrzymał list, w którym jego przyjaciel opisywał swe szczęście i doskonałe zdrowie, a wkrótce po tem pacyentka jego pisała o niezwykłym kolorze cery Nigla.

Powiedział mu, jak w Londynie położył oba list jeden obok drugiego i porównywał je, i jak w przeczuciu czegoś złego, silny instynkt zaprowadził go prawie wbrew jego woli do Egiptu i nakazał zachować ten przyjazd w tajemnicy. A później na tarasie u Shephearda przypadkiem spotkany znajomy powiększył jego obawy. I tak w krótkich treściwych wyrazach doszedł do spotkania w świątyni w Edfu. Od tej chwili nie oszczędził Niglowi żadnego szczegółu. Powiedział o widocznem przerażeniu Mrs. Armine na jego widok, jej kłamstwa, jej zamilczenie, o chorobie męża aż zmiarkowała, że on... Isaacson... słyszał już o niej w Luksorze; jej wmawianie, że to tylko chwilowe niedomaganie spowodowane zmartwieniem po śmierci lorda Harwich; jej usiłowania, ażeby Isaacson nie przybył na Lonlię, list, który mu przysłała, jego nocną wędrówkę brzegiem Nilu aż dotarł do łodzi, jak ich podsłuchana rozmowa skłoniła go do nastawania na widzenie się z Niglem, widzenie się z Mrs. Armine w salonie i jak przemocą prawie dotarł do chorego. Następnie opowiedział sprzeczkę z doktorem Hartley'em, podmówionym przez Mrs. Armine i jak ostatecznie zwyciężył... a zwyciężył groźbą, która mogła przestraszyć tylko winną kobietę.

— Powiedziałem Mrs. Armine, że albo wezmę kuracyę w moje ręce, albo dam znać policyjnym władzom. Wtedy dopiero ustąpiła.

— Jak mogłeś wiedzieć? — zawołał Nigel z niezmierną goryczą, kiedy Isaacson wreszcie skończył mówić. — Nawet gdyby to była prawda, jak mogłeś wiedzieć?

— Nie wiedziałem: podejrzywałem. Choroba była spowodowana zażywaniem przez dłuższy przeciąg czasu minimalnych ilości ołowiu... tak minimalnych, że może nie do odróżnienia od piasku, który przynosi wiatr pustyni. Mrs. Armine, albo sama je tobie podawała, albo czyniła to za czyjemś pośrednictwem.

— Kłamco! Kłamco!

— Czy sama podawała ci pokarm? Czy przygotowywała kiedy kawę?

— Nigel wyprostował się w fotelu w gniewnym paroksyźmie energii.

— Wychodź! Wychodź! — wołał strasznym, zdławionym głosem. Twarz jego była żółto biała. Wargi mu drżały.

— Na Boga, wyrzucę cię precz!

— Opierając się o fotel wstał i postąpił do Isaacsona.

— Idę, lecz zostawiam to!

Isaacson wyjął z kieszeni list, który Mrs. Armine przysłała mu na Fatmę i położył go na stoliku.

Poczem odwrócił się i wyszedł przez ciemny ogród.

Uszedłszy kilkanaście kroków spojrzał po za siebie i zobaczył Nigla, który padł na krzesło.

Z zachodniego brzegu Nilu dochodziły przenikliwe, choć przyciszone dźwięki piszczałek, głuche uderzenia dasabukkeh i nosowy śpiew Nubijczyków.

Światła na Lonlii były podobne do rzędu płomiennych oczu spoglądających po przez Nil.

XXI.

Kiedy Mrs. Armine wsiadła w Luksorze do wagonu, usłyszała świst lokomotywy, uczuła wolny z początku, potem coraz szybszy ruch pociągu, zobaczyła znikające z oczu domy i wioski, ujrzała długą płaszczyznę i rysujące się twardo i wyraźnie w wieczornem świetle łańcuchy gór po prawej i lewej stronie, miała chwilę prawie dzikiej radości, jak ktoś, kto niespodzianie uszedł wielkiego niebezpieczeństwa.

Nareszcie była sama, zdala od oczu, patrzących na nią z miłością, a także od oczu, które na nią spoglądały może z groźnem podejrzeniem, nawet z nienawiścią.

Jak mogła wytrzymać tak długo? Dziwiła się samej sobie i nie wiedziała nawet, skąd brała na to dość siły. Lecz pomimo radości, czuła, że nerwy jej są poszarpane. Tylko szczęście mogłoby ją uspokoić. Musi mieć życie, którego pragnęła, i musi je mieć teraz. Inaczej, byłoby po niej. Czy będzie je miała?

Wkrótce radość minęła i opanowała ją znowu obawa.

Nawet jeżeli zastanie Barondi'ego w Kairze, jakie przyjęcie ją czeka?

Niespokojną ręką wyjęła z neseseru pozłacaną szkatułkę, którą jej podarował i otworzyła. Lecz otworzywszy nie śmiała spojrzeć w lustro. Zamknęła, schowała ją na dawnem miejscu i oparła się w kącie przedziału.

— Nie chcę o tem myśleć — rzekła sobie — nie chcę się dręczyć. Muszę spać. Muszę wyglądać jak najlepiej jutro. Wszystko może teraz zależeć od tego, jak będę wyglądała przybywszy do Kairu.

Wkrótce się położyła i zamknęła oczy z silnem postanowieniem, że będzie spała.

Lecz naturalnie sen nie nadchodził. Z początku leżała spokojnie, później zaczęła się niecierpliwić. Długie ciemne godziny przechodziły jedna po drugiej i pierwsze blade promienne światła wkradły się do wagonu. Znużona kobieta, która przez całą noc przewracała się z boku na bok, siadła opierając się o poduszkę, z uczuciem, że prawdopodobnie nowa zmarszczka ukazała się na jej twarzy i że jest brzydszą, niż dnia poprzedniego.

Kiedy pociąg stanął w Kairze spuściła welon, wysiadła i pojechała do Shepheard'a. Znała adres, pod którym mogła znaleźć Barondi'ego, jeżeli był w Kairze i zaraz po przybyciu siadła i napisała do niego po francusku:

„Shephea d. Hotel. Czwartek rano.

Przyjechałam do Kairu po sprawunki. Czy mogę z panem się widzieć? Jeżeli tak, proszę mi dać znać gdzie i kiedy? *Ruby Armine.*

Zakleiła kopertę i kazała służącemu, żeby natychmiast wysłał list przez posłańca. Zamówiła kawę i wzięła kąpiel. Jakżeby pragnęła mieć z sobą zręczną pokojową! Ledwo poznała siebie w lustrze. Zamiast wyglądać młodziej, zdawało się, że wygląda o wiele, wiele starzej, niż była. Lecz była po nocnej podróży, a każda kobieta wygląda starzej po nocnej podróży. Wróci do normalnego wyglądu jak odpocznie. Przeszła do saloniku, kazała sobie przynieść dzienniki i położyła się na sofie. Każdej chwili oczekiwała powrotu posłańca. Przyszedł nareszcie.

— Przyniosłeś list? — zapytała, podnosząc się na sofie.

Posłaniec odrzekł, że nie. Ten pan nie był w domu.

— Zostawiłeś mój list?

— Tak, ma'am.

— Możesz odejść. Pójdź tam znowu o dwunastej zobaczyć, czy ten pan wrócił. Może przyjść na lunch.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

W poprzedniej kronice zajmowaliśmy się przeważnie naszemi sprawami wewnętrznemi, słuszność zatem i sprawiedliwość nakazuje, aby obecnie wysunąć na pierwszy plan zewnętrzne. Sposobność do tego nadarza się z okazyi nadeszłych wczoraj i dzisiaj telegramów, donoszących o zakończeniu prac Rady Czterech w sprawie Górnego Śląska i ogłoszeniu komunikatu Ligi Narodów, z którego wynika, iż dokonano podziału spornego terytoryum. Według tych wiadomości dostaje się Polsce oprócz powiatów pszczyńskiego i rybnickiego, które nam zgóry przeznaczono, nadto i kilka innych powiatów w całości lub w części, w każdym jednak razie nie tyle, ile powinnoby nam przypaść, gdyby w grę wchodziła tylko sprawiedliwość i wola ludu, a nie interes.

Na razie należy się jeszcze wstrzymać z wyrażeniem swego zdania, dopóki nie odezwie się Rada Najwyższa, dotąd bowiem miała głos jedynie Liga Narodów, jako organ pewnego rodzaju doradczy, ostatnie zaś słowo należy do Rady Najwyższej. Mocarstwa w niej reprezentowane, oświadczyły wprawdzie z góry, że orzeczenie Ligi Narodów przyjmą bez zastrzeżeń, od tej chwili upłynęło jednak kilka tygodni i nie jest bynajmniej wykluczonem, że tymczasem ten i ów z jej członków mógł zmienić swoje zdanie. Mamy tu na myśli w szczególności Lloyd'a George'a, który każdą sprawę, jako dobry adwokat, potrafi przekręcić do góry nogami, a sporo dowodów tych swych zdolności złożył właśnie przy okazyi debat górnośląskich. Dopóki mieć nie będziemy czarne na białem, z jaką miną Lloyd George orzeczenie Ligi Narodów przyjął do swej wiadomości i co na to powiedział, o definitywnem załatwieniu podziału Górnego Śląska nawet mowy być nie może, a wszystkie wiadomości, nadsyłane przez własnych i niewłasnych korespondentów są tylko przypuszczeniami, pozbawionemi realnej podstawy. Ale nawet i wtedy jeszcze, choćby Lloyd George bezpośrednio po otrzymaniu zawiadomienia odezwał się w jakiś sposób, dajmy na to do swego otoczenia, do słów jego zbytniej wagi przywiązywać nie można. Dopiero, gdy po zebraniu się Rady Najwyższej, co ma nastąpić w najkrótszym czasie, usłyszymy ostateczny jej wyrok, można będzie zabrać głos w tej sprawie, dziś wszelkie gadaniny są przedwczesne i bezprzedmiotowe, psują jedynie humor, a nie prowadzą do celu, gdyż nikt się z niemi nie liczy.

Powie kto może, że wtedy na zabieranie głosu będzie już zapóźno, gdy decyzya zapadnie, na to jednak odpowiedź, że choćbyśmy obecnie zużyli w tym celu nie wiedzieć ile tak drogiego dziś atramentu lub farby drukarskiej, na tok sprawy to zupełnie nie wpłynie, rozstrzygnięcie zaś nastąpi wedle zgóry powziętego planu.

Nie należy także zapominać, że my na sprawę górnośląską zapatrujemy się z punktu sprawiedliwości i w ten sposób staramy się ją przedstawić, gdy natomiast przeciwna strona uwzględnia jedynie interes, ci zaś, od których zależy ostateczna decyzya, zaangażowani są poważnie w tem „przedsiębiorstwie" i zależy im na tem, aby ten interes nie poniósł żadnego szwanku. Zamiast zatem roić złote nadzieje, nie mające doczekać się spełnienia, a potem doznać rozczarowania, lepiej z góry przygotowanym być na niezbyt dla nas może pomyślny wynik. Spotka nas zaś przyjemna niespodzianka, to jest przekonamy się, że sprawiedliwość wzięła górę nad interesem, będziemy mieć dość czasu na wyrażenie swej radości i wdzięczności wobec tych, którzy się do tego przyczynili.

Rada Najwyższa ma się zebrać w Londynie już podobno w najbliższym tygodniu, czekać zatem nie potrzebujemy zbyt długo, ale tylko na jej zebranie, gdyż decyzye, jakie powźmie zależne będą od kierunku wiatru, wiejącego z Berlina w stronę Lloyd'a George'a, umiejącego bardzo pięknie grać rolę chorągiewki na dachu lub wykręcać się sianem. Sprawa górnośląska przeszła już tyle instancyi, iż chyba nie dziwiłoby nikogo, gdyby i teraz dano jej znowu, mówiąc po austryacku „szybera" i odesłano, dajmy na to, celem ponownego rozpatrzenia do... Waszyngtonu.

Dopóki zatem nie usłyszymy ostatniego wyroku, o przynależności ziem górnośląskich mowy być nie może na seryo.

Załatwiwszy się w ten sposób z najbardziej dziś piekącą sprawą zewnętrzną, wrócić musimy do wewnętrznych, zwłaszcza, że one mają pewien związek i z naszymi stosunkami z zagranicą. Mamy tu na myśli przedewszystkiem plan sanacyi naszych finansów, zaprojektowany przez ministra Michalskiego. Wywołał on bardzo dobre wrażenie, tak w samym kraju, jak i u naszych sprzymierzeńców i przyjaciół, którzy widzą w nim chęć poważnej i planowej pracy celem wybrnięcia z krytycznej sytuacyi, w jakiej nas postawiła dotychczasowa gospodarka. W związku z tem stoi też zwyżka naszej marki utrzymująca się od pewnego czasu, co kazałoby się spodziewać, że zagranica zaczyna nabierać do nas zaufania. Czy jednak to zaufanie nie zostanie podkopane i to zaraz na samym wstępie przez nieszczęsną opozycyę, występującą gwałtownie w obronie rzekomo zagrożonych praw pracującego ludu?... Aby zwiększyć naszą produkcyę przemysłową zaproponował minister Michalski między innemi wstrzymanie na lat dwa postanowień karnych, dotyczących przestrzegania ośmiogodzinnego dnia pracy. Nie jest to zatem zniesienie ustawy, która pozostaje dalej w mocy, lecz jedynie znalezienie furtki pozwalającej na jej chwilowe obejście o tyle, o ile gdzie zgodzą się na to dobrowolnie tak pracodawcy jak i pracownicy. Ośmiogodzinny dzień pracy jest piękną zdobyczą robotnika, ale zastosowanie się do żądania dra Michalskiego nie powinno być uważanem za zamach na nią. Kraj znajduje się w krytycznem położeniu, celem ratowania go obowiązani są wszyscy do ponoszenia ofiar, tem samem zaś i robotnicy, zwłaszcza, że w gruncie rzeczy nie jest to żadna ofiara, gdyż za ewentualną dwugodzinną nadwyżkę otrzymają odpowiednie wynagrodzenie. Nie może się to także stać regułą i bynajmniej nie pragnie tego projektodawca, chwytając się tego środka ratunku jedynie ze względu na wyjątkowe położenie, w jakiem się znajdujemy. Sąsiednie kraje, które zrozumiały, jaką wartość mogą mieć dla nich takie dodatkowe dwie godziny pracy, zaprowadziły u siebie coś podobnego, nie uważając tego bynajmniej za zamach na prawa pracującego ludu. U nas, którzy jesteśmy w dalеko gorszem niż one położeniu, projekt ministra skarbu wywołał burzę, mogącą unicestwić już w zarodku wszystkie jego zabiegi i usiłowania.

W miłej harmonii wystąpił imieniem robotników socyalistycznych dr Diamand, w imieniu chrześciańskich ks. Adamski, obaj sprzeciwiając się projektowi dra Michalskiego, pocichu popierają ich i inne stronnictwa, nie mające dość odwagi na wystąpienie jawne, by nie ściągnąć na siebie zarzutu, że dokładają starań, by sparaliżować dobre chęci i zamiary ministra. Jednym z nich nie podoba się żelazna miotła, innym nożyce, innym wreszcie śruba, o których wspomniał w swej mowie programowej. Paskarze i lichwiarze wypowiedzieli mu zatem wojnę, którą prowadzić będą podjazdowo, a pierwszą sposobność znajdują z okazyi wystąpienia dra Diamanda i ks. Adamskiego, mogących liczyć na ich wydatne poparcie. Cały ogół poselski dość niechętnem okiem spogląda w stronę ministra skarbu, na punkcie bowiem śruby podatkowej są wszyscy nadzwyczajnie drażliwi. A tu minister zapowiada, że będzie ona żelazna i że ściąganie podatków i danin odbywać się będzie bezwzględnie. Ile rozchodzi się o wydawanie pieniędzy, każdy byłby rad mieć w tem udział, aby uszczknąć cośkolwiek, jeśli nie dla siebie to dla swoich, ale broń Boże, aby miano apelować do jego kieszeni, a tem bardziej jej grozić. Gdy rok temu zagrażała nam nawała bolszewicka, a państwo zwróciło się do ogółu obywateli o pomoc, pospieszono chętnie w szeregi, nie żałując krwi. Dziś zwraca się ono z podobnym apelem, nie żądając świadczeń orężnych, lecz pieniężnych, i spotyka się z dziwną obojętnością, a nawet wprost z niechęcią. Niektórzy ludzie, jakgdyby zrozumieć nie chcieli, że krytyczne położenie ekonomiczne może być równie niebezpiecznem, jak polityczne lub wojenne i może także wymagać natychmiastowego i energicznego ratunku. Na opędzenie wydatków, bez których się obejść nie podobna, muszą się znaleźć fundusze, a głównem źródłem dochodów państwowych są z natury rzeczy podatki. A u nas ten dział administracyi skarbowej pozostawia właśnie bardzo wiele do życzenia. Dawny zabór austryacki opłaca je wedle dawnego systemu i tu śruba podatkowa funkcyonuje stosunkowo dość sprawnie, posługując się rozmachem pozostałym jeszcze z austryackich czasów, w Kongresówce natomiast nie istnieje ona dotąd prawie, Poznańskie zaś prowadzi gospodarkę zupełnie odrębną, o resztę kraju się nie troszcząc. Minister skarbu jest zatem naprawdę w krytycznem położeniu, skąd wziąć pieniężnego smarowidła, aby maszyna państwowa mogła bodaj jako tako pracować. Wydatki rosną z każdym dniem, a do kas państwowych wpływa bardzo niewiele. Poprzednicy dra Michalskiego pomagali sobie w ten sposób, że forsownie drukowali banknoty, ale ta ich gospodarka doprowadziła też do tego, iż marka polska przedstawia dziś wartość niewiele większą od papieru, na którym jest wydrukowaną. Z tą polityką finansową starał się zerwać dr Steczkowski, urzędował jednak zbyt krótko, aby móc naprawić to złe, na jakie złożyły się całe lata. Próbowano wprawdzie w międzyczasie różnych środków ratunku, były one jednak tylko dorywcze i połowiczne, wyrządzały zatem raczej szkodę, zamiast przynieść pożytek. Podwyższano zatem rozmaite opłaty, dochodząc w niektórych działach administracyi poprostu do absurdum. Dziś aby sobie pozwolić na podróż koleją żelazną, trzeba być albo milionerem, albo... posiadać bilet wolnej jazdy. Do dzieła zniszczenia przyłożyły rękę hyeny walutowe, spekulując na ciągłem obniżaniu się kursu marki, a wszystko to razem złożyło się na katastrofę, od której uratować nas może tylko naprawdę żelazna ręka.

Ministrowi Michalskiemu przypadło w udziale wyciągnięcie nas z tego błota i, przyznać trzeba, zabrał się do tego z całą energią i poświęceniem, ale już na samym wstępie spotkał się z trudnościami, które mnożyć się będą i potęgować z dniem każdym. Aby pacyentowi przywrócić zdrowie wskazaną jest radykalna operacya, z której przeprowadzeniem zwlekać nie można, gdyż niebezpieczeństwo jest poważniejsze, niż się niejednemu wydaje. Niestety, ci sami, którzy przyznawali, że ratunek jest konieczny, obecnie starają się go utrudnić albo odwlec nie zważając zupełnie na to, lub też nie zdając sobie sprawy, że może to bardzo łatwo zniechęcić dra Michalskiego, a wyszukanie następcy będzie jeszcze trudniejsze.

Program nowego ministra skarbu obejmuje przedewszystkiem daleko idące oszczędności w różnych działach administracyi państwowej, a co za tem idzie, skasowanie niepotrzebnych ministerstw i redukcyę sił urzędniczych do nieodzownego minimum. Będzie to zatem wymiatanie śmieci, dość trudne, gdyż potrafiły się one już zakorzenić. Poza tem pójdą w ruch nożyczki, obcinając niepotrzebne wydatki we wszystkich działach, w które sobie minister skarbu zastrzegł prawo wglądania i zakładania swego *veto* o ile jakąś pozycyę uzna za zbyteczną. Żelazna miotła ma się dać we znaki rozmaitym lichwiarzom i paskarzom, doprowadzającym nas do ruiny, słowa ministra, skierowane pod ich adresem, wywołały też w ich licznych szeregach gwałtowny popłoch i prawdziwy „sądny dzień".

Co się tyczy śruby podatkowej, to pierwszem jej działaniem ma być jednorazowa danina w miejsce pożyczki przymusowej, którą minister uważa za nie prowadzącą do celu. Ta danina będzie oczywiście dla każdego dość przykrą, gdyż każdy lubi brać pieniądze, a nie wydawać, należałoby sobie jednak życzyć, aby obmyślaną była i przeprowadzoną w ten sposob, by dotknęła równomiernie wszystkich, nie tak, jak poprzednie rozmaite podatki i opłaty, które dawały się we znaki najmniej posiadającym, gdy natomiast milionerzy wychodzili obronną ręką. A milionerów mamy dziś więcej, niż nam się nawet wydaje. Trzeba tylko umieć zaglądać do ich kas ogniotrwałych i drewnianych, jaskrawo pomalowanych skrzyń, a znajdzie się tam takie kapitały, że wystarczyłyby one w zupełności na pokrycie naszego w setki miliardów już idącego deficytu. Niechaj zatem i oni, a nie jedynie biedni urzędnicy, żyjący ze szczupłej płacy, przyczynią się do ratowania kraju, zwłaszcza, że tego nawet nie odczują, gdyż wielu z nich nie wie, ile posiada, zatem parę tysięcy mniej lub więcej nie zrobi im różnicy.

W tem miejscu podnieść należy prawdziwie obywatelski czyn St. hr. Badeniego, który w ogłoszonej przez się w „Słowie Polskiem" odezwie wzywa ziemian, aby, nie czekając na wymiar daniny z urzędu, pospieszyli krajowi z pomocą, wpłacając do kas państwowych po tysiącu marek od morga. Sam, dając dobry przykład, złożył już na ten cel siedm milionów. W odezwie swej zaznacza, że ziemianie nie mogą zaprzeczyć, jakoby nie robili dobrych interesów, to zatem świadczenie nie zrobi zbyt wielkiego wyłomu w ich budżecie, a da wewnętrzne zadowolenie, że postąpili, jak na prawych obywateli przystało.

Byłoby wskazanem, aby prezes Witos ogłosił podobne wezwanie do braci włościan, którzy stosunkowo więcej zarobili, niż obszarnicy. Wówczas mogliby upominać się o przeprowadzenie reformy rolnej, chcąc bowiem ciągnąć korzyści, powinno się być gotowym także i do pewnych poświęceń. Mała tylko część pieniędzy, kryjących się dyskretnie w skrzyniach chłopskich, przelana do kas państwowych, mogłaby w bardzo krótkim czasie zaradzić złemu. Gospodarz na kilku morgach rozporządza dziś takim zapasem gotówki, iż śmiało pozwolić sobie może na ofiarę na rzecz ogólnego dobra kilku a nawet kilkudziesięciu tysięcy. Niedawno czytaliśmy o sprzedaniu na targu wiązki słomy, w której były ukryte dwa miliony marek, przeznaczone do ulokowania w Kasie Oszczędności.

cya będzińska obserwując Hirszbergową, przyjechała za nią do Warszawy i tu stwierdzono, że jest ona przyjaciółką Romana Dziewańskiego, pracownika zakładów graficznych Wierzbickiego przy ul. Chmielnej i że Dziewański żyje również hucznie i wesoło, na co nie mógłby sobie pozwolić z normalnych zarobków. Kochającą się parę wzięta policya śledcza pod obserwacyę i upewniwszy się w swych podejrzeniach, aresztowała w bramie domu nr. 56 przy ul. Chłodnej Dziewańskiego, gdy wychodził z paczką pieniędzy fałszywych na sumę 2 milionów marek seryi Z. I.

W mieszkaniu Dziewańskiego przy ul. Wroniej l. 7. przeprowadzono niezwłocznie rewizyę, jednak nic nie znaleziono. Zwrócono tylko uwagę na notatkę z nazwiskiem Józefa Chmielewskiego, również pracownika drukarni Wierzbickiego.

Badany Dziewański tłómaczył się, że paczkę tę dała mu jakaś kobieta do... potrzymania i że on nie wiedział, co w niej było. Zaklinał się i płakał, że jest niewinną ofiarą i t. p.

Aresztowano z kolei Józefa Chmielewskiego, który przyznał się do wyrabiania fałszywych pieniędzy, twierdząc, że skradziona klisza znajduje się u Antoniego Zielińskiego (Wiejska 21). Aresztowany znowu Zieliński początkowo się wypierał, skonfrontowany jednak z Chmielewskim przyznał się do posiadania kliszy, zaznaczając jednocześnie, że kliszę tę spalił w przeddzień u matki swej (Chmielna 60), ponieważ przeczuwał, że policya jest na jego tropie. Istotnie po przeprowadzeniu rewizyi znalezione przy ul. Chmielnej 60 u matki Zielińskiego w kominie opałki kliszy cynowej.

Dalsze badania aresztowanych doprowadziły do fabryki, znajdującej się o 7 klm. od Warszawy, w Pustelniku u Stanisława Pawlika, gdzie wykryto tajną drukarnię, zaopatrzoną w maszyny i klisze służące do wyrobu pieniędzy. Aresztowano przy tej sposobności kilku fałszerzy, przeważnie pracowników firmy Wierzbickiego.

Dalsze śledztwo doprowadziło do odnalezienia jeszcze jednej maszyny drukarskiej, która znajdowała się w Utracie. Przed niedawnym czasem część maszyn przewieziono do Pustelnika. Do bandy należał także brat St. Pawlika, który we czwartek, na dwie godziny przed przybyciem policyi, przywiózł w skrzyni rozebraną maszynę z Utraty do Warszawy na ulicę Żelazną, ale zaraz po złożeniu skrzyni w podwórzu zjawiła się policya i maszynę sprowadziła do urzędu śledczego.

Organizatorem fabryki był St. Pawlik, namówiwszy do wykradzenia klisz Dziewańskiego. Ponieważ Dziewański nie miał dostępu do ubikacyi, gdzie znajdowały się klisze, trzeba było użyć do tego Zielińskiego, który długo się podobno wahał, zanim zdecydował się dokonać kradzieży. Skradzione zostały 3 klisze, nie 5 czy nawet 6, jak nadmieniano.

Jednej użyli „fabrykanci" sami, a dwie zostały sprzedane.



Uczczenie zasług prezydenta Clemenceau: Clemenceau w swej rodzinnej miejscowości.

Wyłapanie bandy zapoczątkowało aresztowanie na dworcu kolejowym Nuchima Zalemana i Ryfki Kleinbortówny. Rewizya osobista wykryła u niej w tłómoczku pół miliona fałszywych 1000-markowych banknotów białych. Kleinbortówna chciała przekupić agenta, ofiarując mu najpierw falsyfikaty i 200.000 marek prawdziwych pieniędzy, następnie 1.200.000 i falsyfikaty, wreszcie w paroksyźmie rozpaczy 2 miliony 200 tysięcy marek uczciwych pieniędzy i owe falsyfikaty. Niewzruszony agent Zając odprowadził ją do aresztu.

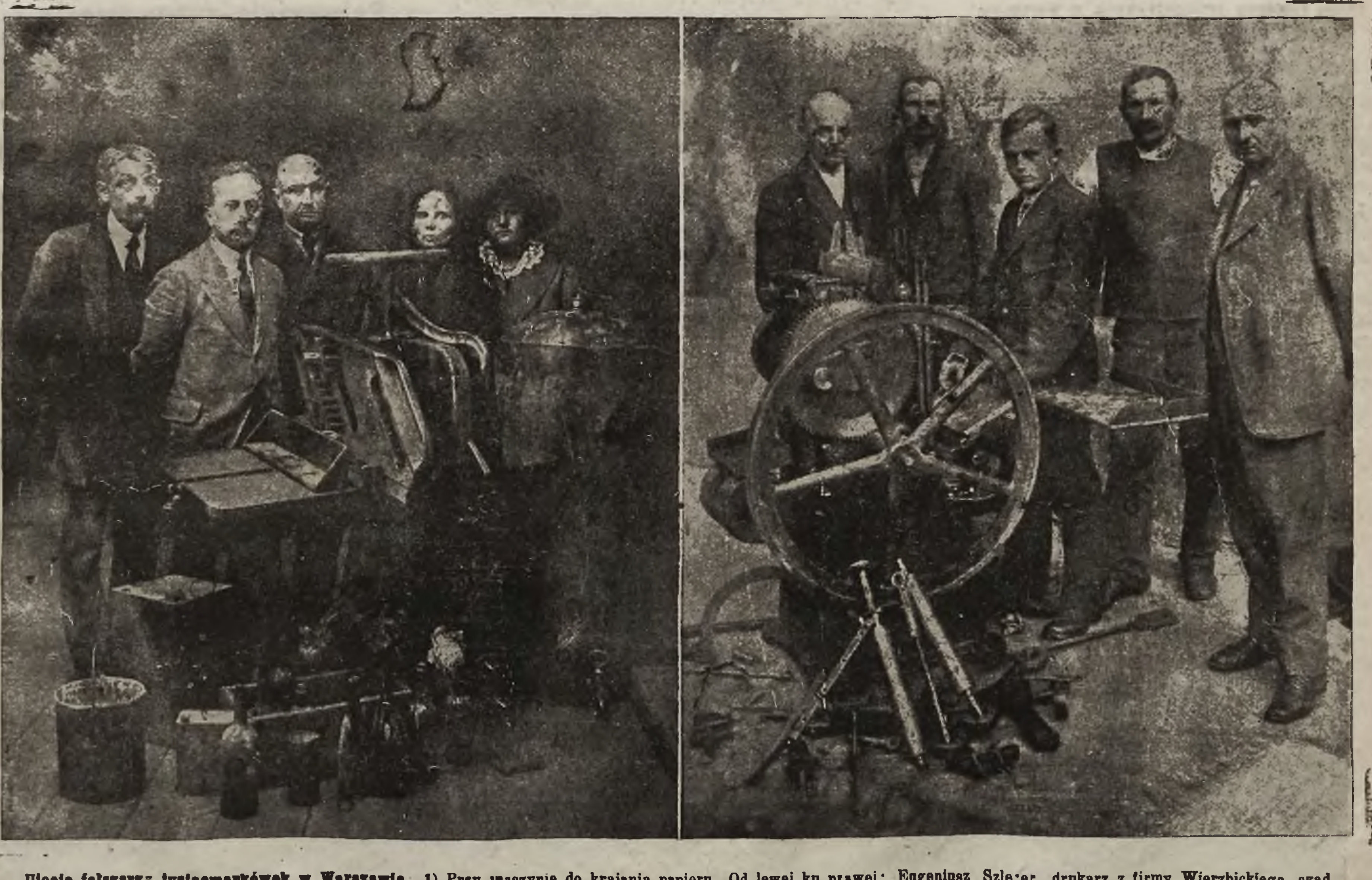
Nici śledztwa zaprowadziły i do Białegostoku, gdzie aresztowano i wuja Ryfki, Judela Kleinborta, znanego bogacza. Okazało się, że „włożył" on do fałszywego interesu 5 milionów marek.

Podkreślić wypada z uznaniem sprężystość naczelnika urzędu śledczego p. Sonenberga i pomocnika jego p. Kurnatowskiego, którzy w ciągu jednej doby od pochwycenia wątku zdołali odkryć całą bandę fałszerzy i fabrykę.

Do wytropienia i ujęcia bandy fałszerzy przyczynili się znacznie przodowniczka II. brygady śledczej Stanisława Piechotka, która pierwsza przytrzymała puszczających falsyfikaty w obieg, oraz starszy przodownik III. brygady Władysław Kolęda. Ten drugi odkrył miejsce przechowywania tłoczni podrobionych banknotów.

Ekspedycya naukowa w Himalaje.

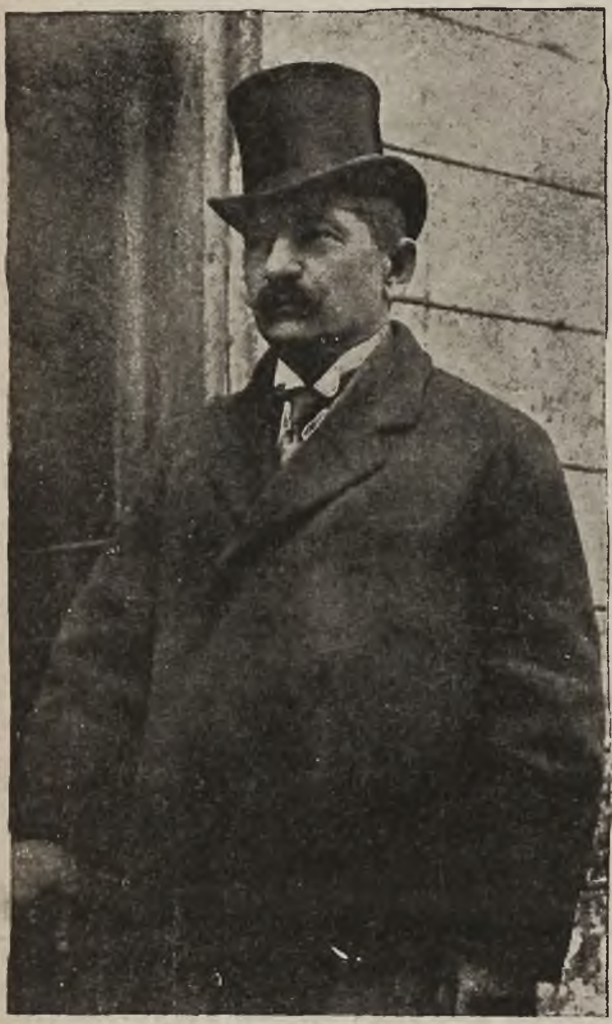
Ogólną uwagę nie tylko specjalistów geografów, ale i każdego zwykłego śmiertelnika, budzą ogłaszane przez pisma angielskie, a powtarzane prze-



Ujęcie fałszarzy tysiącemarkówek w Warszawie. 1) Przy maszynie do krajania papieru. Od lewej ku prawej: Eugeniusz Szleter, drukarz z firmy Wierzbickiego, skąd skradł serye i oryginalne farby. Antoni Zieliński, fotochemigraf (skradł w drukarni Wierzbickiego klisze); Roman Dziewański (ojciec); Kazimiera Bieńkowska, siostra Dziewańskiego i Walerya Hirszbergowa (kochanka tegoż), puszczające w obieg falsyfikaty. 2) Fałszerze przy prasie nożnej. Od lewej ku prawej. Józef Chmielewski, b. zarządca drukarni Kopytowskiego, kierownik szajki; Walenty Wiśniewski; Roman Dziewański (syn); Antoni Pawlik, stolarz; Roman Dziewański (ojciec) maszynista drukarni Wierzbickiego. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

wszystkie inne, sprawozdania ekspedycyi naukowej wysłanej w głąb centralnej Azyi, celem zbadania tamtejszych bardzo mało znanych okolic. Głównym celem wyprawy jest dokładne poznanie Himalajów i dotarcie na szczyt Gaurizankaru (Mount Everest), co jak doniosły świeżo telegramy, miał uwieńczyć pomyślny skutek.

Ten, do niedawna za najwyższy na świecie uważany szczyt Himalajów, wznosi się na 8.840 m. nad poziom morza i był dotąd jedynie przedmiotem westchnień europejskich turystów, z których żadnemu nie udało się dotrzeć do jego wierzchołka. Dziś jednak osiągnięcie szczytu Gaurizankaru nie przedstawia dla turysty takiego znaczenia, jak poprzednio, okazało się bowiem, że nie on, lecz góra Grahama z dotychczas znanych, wzbija się najwyżej w przestworza.



Ujęcie fałszerzy tysiąemarkówek w Warszawie: Kierownik biura śledczego, Ludwik Kurnatowski.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa

Listy kierownika obecnej wyprawy w głąb Himalajów, pułkownika Bury, są tak interesujące i tak malowniczo skreślone, że budzą ogólne zaciekawienie, wprowadzając czytelnika w dotychczas zupełnie nieznane mu światy, o których nawet uczony mógł mniej powiedzieć, niż o powierzchni księżyca, gdzie wprawdzie osobiście nie był, lecz miał sposobność, siedząc na wygodnem krześle przy dalekowidzu, dokładnie ją obserwować. Badanie tych okolic i szukanie wyjścia na szczyt Gaurizankaru połączone jest z nadludzkimi prawie wysiłkami, na jakie nie każdy przeciętny śmiertelnik może się zdobyć.

I przyroda tu zupełnie inna, niż gdzieindziej, i ludność zamieszkująca te niedostępne, a przecież bardzo urodzajne i malownicze okolice, różniąca się zupełnie od innych mieszkańców świata. Pozostała ona daleko w tyle za postępem cywilizacyi, jednak dobrze jej z tem i obchodzi się bez różnych rzeczy, wydających się dla nas niezbędnemi. Mieszkańcy Tybetu oryentują się nie według zegarka, lecz wedle czasu potrzebnego na wypicie jednej filiżanki herbaty, z sąsiadami zaś z Nepalu utrzymują stosunki handlowe wymienne, otrzymując sól za ryż i farbę. Miłośnik kwiatów znalazłby tutaj prawdziwy raj dla siebie spotykając na każdym kroku rosnące dziko prześliczne okazy flory, wobec których uważane u nas za najwspanialsze są tylko mizernymi chwastami.

Ekspedycya pułkownika Bury próbowała z różnych stron dotrzeć na szczyt Gaurizankaru, zmieniała też często główne miejsce swego postoju, dokonując wszędzie pomiarów geodetycznych, zdjęć fotograficznych, kompletując zbiory przyrodnicze, a przytem spisując dokładnie swe spostrzeżenia i wrażenia z tych naprawdę „z tysiąca i jednej nocy" czarodziejskich okolic.

Na zakończenie pozwolimy sobie przytoczyć wyjątek z dziennika ekspedycyi i to nie najbardziej ciekawy, lecz stanowiący dla siebie osobną całość.

„Korzystając z niepogody, niepozwalającej na dalszą pracę turystyczną, pułkownik Bury postanowił zwiedzić dolinę niższą Kamachu przechodząc przez dolinę 14 jezior, i rozbijając namiot nad jeziorem Ruddamlamtso. Jezioro to, uważane za święte, jest celem corocznej pielgrzymki, przy której pobożni okrążają je, paląc kadzidło i rzucając wonne korzenie do wody. Od tego jeziora prowadzi stroma droga przez lasy jałowca, brzóz i rododendronów do prześlicznej terasy, gdzie rez zaraza wyniszczyła zamożną i wielką wieś. Ponieważ zabobon panuje, że demon, sprawca zarazy, wciąż jeszcze nawiedza tę okolicę, nikt nie waży się odbudować wsi. Terasa t. zw. Sakeding przemienia się powoli w las, który coraz bardziej zarasta opustoszałe i rozwalone domostwa. Stąd piękny widok na Makalę.

Tu spotykają się w miesiącach letnich mieszkańcy Tybetu i Nepalu, by mieniać sól na ryż i farby. Z tych trzech rzeczy sól najbardziej jest cenioną i w handlu zamiennym równa się miara soli wartości dwóch miar ryżu a trzech farby. Z Sakeding — pisze pułkownik Bury — zeszliśmy do doliny Kamy przez las o nadzwyczaj bujnej wegetacyi ogromnych jałowców, zwisających girland mchu, pełny paproci, dzikich róż, dzikich porzeczek, agrestu, malin, pierzastych bambusów, brzóz, sykamory, rododendronów i egzotycznych traw. Korzenie dzikiej lilii, z których naprzód wypędza się trujące soki za pomocą fermentacyi, służą tu za pożywienie, ale dla europejczyka smak ich jest cierpki i nieprzyjemny. Z liści karłowatego rododendronu, powiązanych cienkiemi pasmami bambusu, tkają mieszkańcy doskonałe, nieprzemakalne okrycia dla siebie i dla ładunków. Droga, prowadząca wzdłuż błotnistych wód Kamachu wyłożona była miejscami pniami z ogromnych srebrzystych świerków, których pełna jest okolica".

Ciekawy również jest wyjątek listu pułkownika Bury do „Times'a", opisujący kwaterę ekspedycyi w Tingri. Okazuje się z niego, że wszyscy kamienicznicy na świecie są do siebie zupełnie podobni, a himalajscy nie różnią się niczem od krakowskich. Dom, w którym zamieszkał pułkownik, przedstawiał się na zewnątrz zachęcająco, ściany miał ozdobione podobiznami latających psów i straszliwych smoków, wewnątrz natomiast ciasny był, ciemny i lechlujny, w porze deszczowej zaś trzeba było przesuwać łóżka z miejsca na miejsce, lub... spać pod o wartym parasolem.



Ujęcie fałszerzy tysiącmarkówek w Warszawie: Funkcyonaryusze brygady śledczej Stanisława Piechotka i W. Kolęda zasłużeni w odkryciu fałszerzy
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Pożegnanie znanego artysty.

Kraków, choć szczyci się wysoką kulturą, nie umie jakoś widocznie ocenić wybitnych talentów artystycznych i to we wszystkich działach sztuki i pozwala na to, że prawie wszystkie lepsze siły, znajdując gdzieindziej korzystniejsze dla siebie warunki, opuszczają jego stare mury, choć stołeczne z nazwiska, lecz trącące aż nazbyt silnie zapadłą prowincyą. Dopiero po przeniesieniu się artysty na inne miejsce dochodzi się do przekonania, jaką się stratę poniosło, gdy jednak czas jeszcze uchronić się od niej, nikomu ani przez myśl nie przejdzie, by się o to postarać.

Prawdziwość tych słów najlepiej stwierdzić na naszych teatrach, tracących z roku na rok najlepsze swe siły na korzyść innych miast. Z wybitniejszych pozostali dotąd w Krakowie tylko tacy, o których



Ekspedycya naukowa w Himalaje: Gaurizankar (Mount Everest) wedle fotografii, zdjętej na wysokości 5.400 m. ponad poziom morza.

się mówi, że wrośli tak silnie w ziemię, że ich w żaden sposób z miejsca nie ruszy. Starsza to przeważnie gwardya, gdy natomiast młodsi uciekają od nas jeden po drugim. A niema się czemu dziwić!... Artysta, choćby nawet najbardziej ukochał Kraków i jego świątynię Sztuki, jest przecież tylko człowiekiem i dąży chętnie tam, gdzie prócz uznania, które samo do życia nie wystarczy, znajdzie pomyślniejsze dla siebie warunki materyalne i odpowiedniejsze pole do rozwoju swych zdolności.

Szereg tych dezerterów z pod sztandaru Melpomeny powiększył ostatnio Dante Baranowski, przez



Pożegnanie znanego artysty: Dante Baranowski, były artysta i sekretarz krakowskiej „Bagateli".

lat dwa sekretarz i artysta dramatyczny krakowskiej „Bagateli", prawdę zaś mówiąc właściwy jej kierownik. Odbiła go nam Warszawa, która nie żałuje starań i zabiegów, aby pozyskać dla siebie najwybitniejsze siły artystyczne.

W Dante Baranowskim traci Kraków, a właściwie „Bagatela" niezrównanego przedstawiciela ról charakterystyczno-komicznych. Widzieliśmy go na naszej scenie w najrozmaitszych rolach, a z każdej wywiązał się tak dzielnie, iż nawet najdrażliwszy krytyk nie mógł nic znaleźć, co możnaby zganić lub bodajby tylko z miną wielkiego znawcy z ubolewaniem głową nad tem pokiwać. Talent jego aktorski, sumienność w opracowaniu roli, temperament i w miarę zawsze stosowana doza komizmu, daleka od szarży, oto zalety, które zjednały mu uznanie krakowskich teatralnych bywalców. Pożegnali go z żalem, ale i z życzeniem szczęścia na nowym posterunku.

W Warszawie objął artysta stanowisko wyłącznie aktorskie i reżyserskie, pozbywszy się zatem z głowy kłopotów administracyjnych, będzie mógł tem wydatniej oddać się służbie dla Sztuki, której życie poświęcił.

W pamięci Krakowian pozostanie Dante Baranowski na długo jako niezrównany Pagatowicz z „Grubych ryb" Bałuckiego, ponadto zbierał zasłużone oklaski w całym szeregu swych występów w sztukach tak obecnie popularnych jak: „Gra serc", „Hiszpańska mucha", „Zielony frak", „Sprawa Kaisera", „Tajfun", „Dobrze skrojony frak", „Aszantka", „Kobieta bez skazy" itd. Każdą z nich opanował należycie, potrafił się wżyć w intencye autora i zrobić z nich prawdziwe cacka sceniczne, dla młodszej generacyi aktorskiej przykład godny naśladowania. W historyi rozwoju naszego teatru zdobył sobie Dante Baranowski jedno z pierwszorzędnych miejsc, żałować zatem należy, że pozbywamy się tak wybitnej siły, której brak nie tak łatwo przyjdzie zastąpić.

Nowy dyrygent warszawskiej Filharmonii.

Podana przez nas w jednym z poprzednich numerów wiadomość o wypadku, jakiemu uległ dotychczasowy dyrygent warszawskiej Filharmonii, znany artysta skrzypek, Zdzisław Birnbaum, uzupełnić dziś musimy doniesieniem o tragicznej śmierci tego utalentowanego i cenionego muzyka.

Jak wiadomo, podczas jednego z koncertów w Filharmonii uległ on nagłemu atakowi szału. Początkowo sądzono, że nie jest to nic poważniejszego, i że artysta, żyjący przeważnie nerwami, po odpowiednim wypoczynku powróci znowu do normalnego stanu zdrowia, stało się przecież inaczej.

Birnbaum wyjechał do Berlina, gdzie przebywa jego rodzina, aby pod jej opieką wypocząć i przeprowadzić kuracyę. Stan zdrowia jego pozornie poprawił się do tego stopnia, iż mógł opuszczać mieszkanie. Przed dwoma mniej więcej tygodniami opuścił mieszkanie w zamiarze udania się do Opery i od tego czasu słuch o nim zaginął. Wszelkie starania rodziny, prowadzone bardzo energicznie, nie dały przez dłuższy czas żadnych pozytywnych rezultatów, dopiero w ostatnich dniach ubiegłego tygodnia wyłowiono zwłoki nieszczęśliwego w pobliskim jeziorze grunewaldzkiem. Czy się ma do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem skutkiem nieostrożności, czy też z własnowolnem targnięciem się na swe życie w przystępie zamroczenia duchowego, to tajemnica, którą zmarły zabrał ze sobą do grobu. Zwłoki przedwcześnie a tak tragicznie zgasłego artysty złożono na wieczny spoczynek w Berlinie w dniu 16 października b. r.

Zdzisław Birnbaum już jako 9 letni chłopczyk zachwycał swą grą i zadziwiającą muzykalnością. Ukończył „Meisterklasse" u Joachima i uczył się następnie u Ysaya. Przez dłuższy czas koncertował w Niemczech, aż w Hamburgu zmuszony chorobą głównego dyrygenta Filharmonii do chwycenia batuty, zmienił swój zawód na dyrygencki i pozostał mu wiernym do końca życia. Ameryka i Szwajcarya a następnie Niemcy były areną jego powodzeń. Do Warszawy przybył w roku 1911 i pozostawał tu na stanowisku aż do chwili, w której smutny stan zdrowia wytrącił mu z rąk batutę w sposób tragiczny i budzący ogólne współczucie i żal.

Następcą Birnbauma na stanowisku głównego dyrygenta Filharmonii warszawskiej zostaje jak donoszą tamtejsze pisma, znany również zaszczytnie artysta muzyk, Fitelberg, osobistość w warszawskim świecie muzykalnym ciesząca się zasłużonem uznaniem.



Nowy dyrygent warszawskiej Filharmonii: Artysta muzyk, Grzegorz Fitelberg, następca Birnbauma.

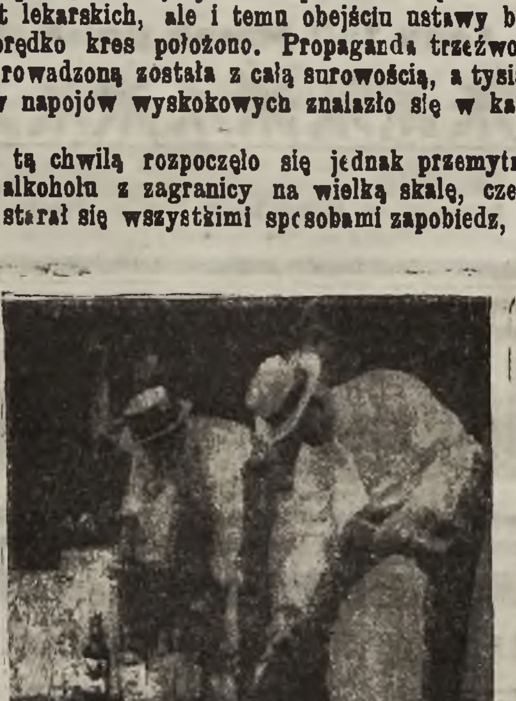
Propaganda trzeźwości w Ameryce.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej obowiązuje już od roku absolutny zakaz używania alkoholu, uchwalony przez Kongres.

Z chwilą wejścia w życie ustawy, Amerykanie, lubiący czasem „zalewać robaka", znaleźli się w bardzo przykrem położeniu, pozbawieni możności podniecania się dawkami whisky, brandy i dżinu, nawet i piwa, ustawa bowiem zagroziła surowemi karami tak sprzedającym alkohol, jak używającym go, o ile zostaliby przyłapani na gorącym uczynku przekraczania zakazu. Amerykańskim barom zagroziła ruina, amatorowie alkoholu zaopatrywać się weń mogli początkowo jedynie w aptekach na podstawie recept lekarskich, ale i temu obejściu ustawy bardzo prędko kres położono. Propaganda trzeźwości przeprowadzoną została z całą surowością, a tysiące litrów napojów wyskokowych znalazło się w kanałach.

Z tą chwilą rozpoczęło się jednak przemytnictwo alkoholu z zagranicy na wielką skalę, czemu rząd starał się wszystkimi sposobami zapobiedz, ale usiłowania jego spełzły na niczem wobec niesłychanej pomysłowości spekulantów, którzy do sprowadzania alkoholu używali nawet łodzi podwodnych. Można się też było zaopatrzyć w te, tak pożądane „krople życia", ale tylko pokątnie i po bajecznie wysokich cenach.

Powtórzyło się więc w Ameryce mniej więcej to samo, co się dzieje i u nas, gdzie alkohol wolno wprawdzie sprzedawać, ale jest tak wysoko opodatkowany, że opłaca się urządzenie pokątnej „domowej gorzelni", gdzie się go pędzi nieraz i na większą skalę. Jest on wprawdzie bardzo nędznej jakości i szkodzi zdrowiu konsumentów, ale wytwórcom przynosi pokaźne zyski, znajdując zawsze chętnych nabywców, nie mogących się obejść bez „pocieszycielki". Skarb państwowy ponosi skutkiem tego wielkie straty, fabrykanci bowiem podatku nie opłacają.



Propaganda trzeźwości w Ameryce: Niszczenie skonfiskowanych zapasów napojów wyskokowych w jednem z miast amerykańskich.

I kto wie, czy to pokątne gorzelnictwo nie przeniosłoby się i za Ocean, choć Amerykanie mają smak wybredniejszy i z pewnością nie chcieliby się raczyć taką „lurą", jak alkohol sprzedawany u nas, ale stanęło temu na przeszkodzie złagodzenie zakazu używania napojów wyskokowych, wydane przez rząd amerykański. Właściwa ustawa nie straciła mocy obowiązującej, zastosowano jednak pewne wyjątki, mające zapobiedz jej gwałceniu. Rząd Stanów Zjednoczonych wyszedł zatem z honorem, ratując swą powagę, a równocześnie zadowolił wszystkich zwolenników napojów wyskokowych.

Swojego czasu wydano, jeśli się nie mylimy, w stanie Texas zakaz absolutny sprzedaży i kupowania alkoholu, robiąc wyjątek jedynie dla ukąszonych przez grzechotnika, którzy, po stwierdzeniu tego wypadku przez lekarza, mogli się w spirytus na podstawie recepty zaopatrzyć w aptece. Pokazało się jednak w krótkim czasie, że zakaz nie osiąga celu, konsumpcya alkoholu bynajmniej się nie zmniejszyła, nawet zwiększyła i to w drodze zupełnie legalnej, gdyż każdy aptekarz posiadał na składzie kilka grzechotników, które wypożyczał za odpowiednią opłatą, po „ugryzieniu" odbierał z powrotem, a ofierze sprzedawał potem alkohol bez obawy narażenia się na karę.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego